



NR 4/2021

KWIECIEŃ 2021

SKALPEL



BIULETYN WOJSKOWEJ IZBY LEKARSKIEJ

ISSN 1230-493x

Nakład 4010 egz.

Egzemplarz bezpłatny

Najstarsi profesorowie WAM i ich jubileusze
Kraina dzieciństwa, kraina młodości, kraina dojrzewania
Kryminalne zagadki wina
Lekarz w służbie ICCS





XIV Konferencja Naukowo-Szkoleniowa Wojskowych Lekarzy Dentystów

(Jeśli obostrzenia pandemiczne tego nie zabronią)

28–30.05.2021 r. Jurata, Hotel Lido

Wszystkie informacje na: www.14konferencjawil.pl



Są dni, kiedy mówię dość...

Sytuacja ostatnich dni w naszym kraju nie napawa optymizmem, ani w kategoriach wewnętrznych, ani w szerszej, ogólnopolskiej i ogólnolekarskiej perspektywie. Ministerstwo Zdrowia wciąż rozgrywa swoje, nie baczając na nasze opinie a wręcz jawnie je torpeduje – najnowszy przykład, to choćby chęć zaskarżenia legalności (sic!) uchwały Naczelnej Rady Lekarskiej w sprawie przyznawania prawa wykonywania zawodu cudzoziemcom do Sądu Najwyższego. W tym samym czasie nie potrafi jednak wywiązać się w całości z zobowiązań wobec naszego środowiska, jeśli chodzi o należne z ustaw płace i o dodat-

ki covidowe. Wszystko trzeba wyrwać...

Tę szpalkę przeczytacie już po zjeździe budżetowym, który być może otworzy drogę do dalszych, gruntownych zmian w biurze WIL, pod warunkiem, że delegaci dadzą mi zielone światło.

To o czym mówiłem wcześniej, czyli pełna transparentność działań, ale jednocześnie twarda konsekwencja respektowania naszego Kodeksu Etyki Lekarskiej, powinny poprawić bieżącą komunikację z izbą oraz zmniejszyć koszty funkcjonowania biura. To z kolei powinno przełożyć się na zwiększenie możliwości działań prawnych na rzecz naszych członków i członków i wreszcie samodzielne, własne miejsce na ziemi. To dla mnie ostatni zjazd w tej kadencji i sporo od niego zależy. Od tego momentu jeszcze jeden rok zostanie do nowych wyborów władz na IX Kadencję. Kalendarz wyborczy już ruszył, może nie pełną parą, ale na jesień będzie już prawdziwy dym z komina. W stosunku do poprzednich wyborów rejony wyborcze praktycznie się nie zmieniają, a ja chciałbym Was po raz kolejny zachęcić do aktywności, zwłaszcza na etapie kreowania delegatów i potem

do głosowania na tych odważnych i chętnych do pracy na rzecz innych, we własnym czasie i z reguły za darmo. Siłą izby niech wciąż będą ludzie aktywni, kreatywni i niezłomni, o czystym sercu i twardej du*ie, którzy mają w sobie pamięć, żołnierski sznyt i lekarskie umiejętności. Nie bójcie się brać spraw we własne ręce, gromadzić się wokół dobrych pomysłów i twardo bronić naszych praw. Tylko tak możemy mieć pewność, że nie zostaniemy zawłaszczeni przez polityków, by potem czuć się słabymi kartami w obcych rękach. To samorząd, nawet w takiej formie jak dzisiaj, jest właściwie jedyną instytucją o niezależnym zdaniu i własnym, niezawisłym zarządzaniu. Struktura być może powinna się nieco odświeżyć, ale do tego trzeba nowych twarzy i pomysłów, więc nie chowajcie się i zagrajcie na siebie i wygrajcie więcej już dla wszystkich.

Zachęcam...

A na zakończenie i wsparcie tej zachęty, słowa Wojciecha Adamieckiego:

Bardzo mały człowiek może rzucać bardzo duży cień.

Wasz Prezes
ppłk rez. lek. **Artur Płachta**



Spokojnych, zdrowych i rodzinnych
Świąt Wielkanocnych
życzą
Rada Lekarska WIL
oraz Redakcja Skalpeła

SKALPEL

nr 4/2021

kwiecień 2021

WYDAWCA:

Wojskowa Izba Lekarska
ul. Edwarda Jelinka 48
01-646 Warszawa

e-mail:

wojsko@hipokrates.org

www.wojskowa-il.org.pl

tel:

22 621 12 11

22 621 04 93

Konto WIL:

PKO BP S.A., IX O/Warszawa
50 1020 1097 0000 7802 0001 6741

Redaktor naczelny:

Jacek Woszczyk

j.woszczyk@gmail.com

tel. 602 702 038

Redakcja Skalpela:

redakcjaskalpela@gmail.com

Rada redakcyjna:

Artur Płachta

Jerzy Aleksandrowicz

Jan Błaszczyk

Renata Formicka

Kolegium redakcyjne:

Jacek Woszczyk

Mariusz Goniewicz

Kazimierz Janicki

Konrad Maćkowiak

Janusz Wasilewski

Fot. na okładkach I i IV:

Jacek Woszczyk

Opracowanie graficzne, skład, łamanie i druk:

LM Promotion

www.LMPromotion.pl

Tel. 663 664 440

e-mail: biuro@LMPromotion.pl

Nakład: 4010 egz.

ISSN 1230-493x

Redakcja zastrzega sobie
prawo dokonywania skrótów
i zmian redakcyjnych
w nadsyłanych tekstach.

Redakcja nie ponosi
odpowiedzialności za treść
listów do redakcji, ogłoszeń
i reklam.

Spis treści

Szpalta Prezesa	1
Posiedzenie Prezydium Rady Lekarskiej WIL	3
Z kart historii Wojskowej Akademii Medycznej (cz. VII)	4
Lekarz w służbie w ICCS (cz. I)	9
Veni, vidi, vinum (cz. XXVIII)	16
Kraina dzieciństwa, kraina młodości, kraina dojrzewania	18
Zachowajmy Ich w naszej pamięci	19
Wspomnienia	
płk w st. spocz. dr n. med. Michał Mikłaszewicz (1922–2020)	20
płk w st. spocz. dr n. med. Jan Wieczorek (1936–2020)	22
płk w st. spocz. lek. Stanisław Kustra (1946–2020)	23
płk w st. spocz. lek. Ludwik Kuźniar (1935–2020)	24

WOJSKOWA IZBA LEKARSKA

(www.wojskowa-il.org.pl)

Prezes RL WIL:	płk rez. lek. Artur Płachta
Wiceprezesi RL WIL:	płk rez. dr n. med. Stefan Antosiewicz płk w st. spocz. prof. dr hab. n. med. Eugeniusz Dziuk płk rez. dr hab. n. med. Mariusz Goniewicz płk rez. lek. dent. Marzena Mokwa-Krupowies
Sekretarz WIL:	płk rez. dr n. med. Piotr Jamrozik
Zastępca Sekretarza WIL:	płk rez. lek. dent. Jacek Woszczyk
Skarbnik WIL:	gen. bryg. rez. dr n. med. Piotr Dzięgielewski
Rzecznik Odpowiedzialności Zawodowej:	płk w st. spocz. prof. dr hab. n. med. Jan Błaszczyk
Przewodniczący Sądu Lekarskiego WIL:	płk rez. dr n. med. Jerzy Aleksandrowicz
BIURO WIL (wojsko@hipokrates.org)	
Dyrektor Biura WIL:	mgr Renata Formicka 22 621 04 93 22 621 12 11 w. 105
Główna księgowa:	mgr Dominika Sałapa 22 621 04 93 22 621 12 11 w. 111
Rejestr Lekarzy:	mgr Edyta Klimkiewicz 22 621 04 93 22 621 12 11 w. 103 kom. 793 830 360
Doskonalenie zawodowe:	mgr Katarzyna Stankiewicz 22 621 04 93 22 621 12 11 w. 107 kom. 793 830 362 mgr Edyta Klimkiewicz 22 621 04 93 22 621 12 11 w. 103 kom. 793 830 360
Praktyki prywatne:	Bogusława Różycka 22 621 04 93 22 621 12 11 w. 102 kom. 793 830 360
Składki członkowskie księgowość:	mgr Katarzyna Stankiewicz 22 621 04 93 22 621 12 11 w. 107 kom. 793 830 362
Biuro RZOZ:	mgr Beata Staniszevska 42 664 43 52
Biuro Sądu Lekarskiego:	mgr Bogdan Sieradzki 22 621 04 93 22 621 12 11 w. 110 kom. 793 830 361

Sprawozdanie z posiedzenia Prezydium Rady Lekarskiej WIL

w dniu 26.02.2021 r.

W posiedzeniu Prezydium Rady Lekarskiej Wojskowej Izby Lekarskiej wzięło udział 8 jego członków, dyrektor biura WIL, mgr Renata Formicka oraz mecenas Andrzej Niewiadomski. Spotkanie odbyło się w formie hybrydowej. Obrady Prezydium Rady Lekarskiej otworzył Prezes Artur Płachta i przedstawił porządek posiedzenia. Po jego zatwierdzeniu omówił swoją działalność od ostatniego posiedzenia RL WIL. Poruszył temat wtargnięcia grupy przeciwników szczepień do siedziby NIL, w czasie posiedzenia Naczelnego Sądu Lekarskiego. Poinformował także o podpisaniu umowy z firmą LTC na modernizację systemu umożliwiającego prowadzenie rejestru lekarzy.

W następnym punkcie posiedzenia na wniosek kol. J. Woszczyka, podjęto jednogłośnie 19 uchwał w sprawie dokonania wpisów do rejestru praktyk, skreśleń i zmian adresu. Podjęto także jednogłośnie 3 uchwały w sprawie przyznania prawa wykonywania zawodu lekarza, wpisania na listę członków oraz wpisu do rejestru lekarzy i lekarzy dentystów WIL.

Następnie pozytywnie rozpatrzono kandydaturę dr. n. med. Janusza Hałki na konsultanta wojewódzkiego w dziedzinie hematologii dla województwa warmińsko-mazurskiego.

Kolega S. Antosiewicz przedstawił wnioski o zwrot kosztów lekarzom za ich uczestnictwo w kongresach, zjazdach, kursach doskonalących oraz za zakup pomocy naukowych. Prezydium Rady Lekarskiej podjęło jednogłośnie 2 uchwały o zwrocie kosztów.

Sprawę realizacji i kwalifikacji do staży podyplomowych oraz wyznaczania na pierwsze stanowiska służbowe bezpośrednio po stażu omówili kol. M. Goniewicz i S. Antosiewicz. Stwierdzono, że WIL nie prowadzi staży podyplomowych, ani nie wyznacza miejsc stażowych. Należy to do zadań Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia. Określa to ustawa o izbach lekarskich.

W następnym punkcie posiedzenia Prezes A. Płachta omówił propozycję zmian w Regulaminie Rady Lekarskiej oraz Regulaminie Organizacyjnym Biura WIL.

Po wyczerpaniu tematów Prezes zamknął posiedzenie Prezydium RL WIL.

ppłk rez. lek. dent. **Jacek Woszczyk**



Z kart historii Wojskowej Akademii Medycznej (cz. VII)

Pułkownik prof. dr hab. med. Eugeniusz Miękoś
(ur. 1935 r.), urolog



Pułkownik prof. dr hab. med. Eugeniusz Miękoś

W moich biogramach profesorów seniorów nieuchronnie zbliżam się do pokolenia kolegów, bez mała rówieśników. Jednym z nich jest, zaledwie trzy lata starszy ode mnie profesor Eugeniusz Miękoś, którego uroczystość jubileuszowa odbyła się 1.12.2015 r. Jubilat przybył na posiedzenie Rady Wydziału Wojskowo-Lekarskiego w towarzystwie małżonki, córki, syna, wnuka i dalszej rodziny.

W roli laudatora wystąpił prof. dr hab. med. Zbigniew Jabłonowski, następca Profesora – kierownik Kliniki Urologii UM, którego bardzo obszerne omówienie drogi życiowej oraz osiągnięć Profesora ukazało się w SKALPELU (2016, 2, 27–30).

Ograniczę się w związku z tym do przypomnienia, że Jubilat był uczniem czterech profesorów z początków WAM: prof. Tadeusza Wasilewskiego (kier. Katedry Anatomii Prawidłowej AM i WAM), doc. Stefana Chmielewskiego (kier. II Kliniki Chirurgii WAM, w Szpitalu Miejskim im. dr. K. Jonschera), płk. prof. Jana Leńko (kier. Katedry i Kliniki Urologii

WAM) oraz płk. doc. Stanisława Cieślińskiego (kier. Katedry i Kliniki Urologii WAM). Był ich godnym kontynuatorem.

Pułkownik prof. dr hab. med. Marian Szpakowski
(ur. 1936 r.), położnik, ginekolog



Pułkownik prof. dr hab. med. Marian Szpakowski

Wedle obiegowej opinii znani, bo bardzo dobrzy, lekarze (profesorowie – klinicyści) zostali nimi, gdyż w początkach swej kariery akademickiej pracowali w zakładach teoretycznych. Tak było w przypadku profesora Mariana Szpakowskiego, który w czasie studiów był pomocnikiem asystenta, a następnie etatowym pracownikiem w Katedrze Anatomii Prawidłowej profesora Tadeusza Wasilewskiego (pseudonim – Wasil) i równocześnie specjalizował się w położnictwie i ginekologii.

W posiedzeniu, które odbyło się 1 marca 2016 r., jak zwykle w uroczystej atmosferze, uczestniczyła najbliższa rodzina oraz spore grono gości, wśród nich kilku wychowanków – profesorów z Centrum Zdrowia Matki Polki. Laudację wygłosił prof. dr hab. med. Jacek Wilczyński – kierownik Kliniki Ginekologii i Onkologii Ginekologicznej CZMP. Uroczystość

Najstarsi profesorowie Wojskowej Akademii Medycznej i ich jubileusze

przedłużała się, wprawiając w sympatyczne zakłopotanie kierującego obradami dziekana wydziału Pana prof. Jurka Olszewskiego, gdyż goście – profesorowie „prześcigali się” w długich peanach na część swego nauczyciela (a i tak nie wszyscy zdążyli zabrać głos). Ale była przerwa i czas na uściśki, kwiaty i kontynuację wspomnień. Podziwiałem, jak dzielnie Jubilat opanował wzruszenie.

Marian Szpakowski urodził się na Podkarpaciu w Książkach (pow. Przemyśl). Rodzice byli rolnikami. Świadectwo maturalne uzyskał w Liceum Ogólnokształcącym im. J. Słowackiego w Przemyślu (lubił podkreślać, że w tym samym co Aleksander Fredro). Studiował w Fakultecie Wojskowo-Lekarskim AM. W czasie studiów awansował do stopnia podporucznika, dyplom lekarza i awans do porucznika otrzymał już w WAM w 1960 r. Po dwuletnim stażu został asystentem w Zakładzie Anatomii Prawidłowej WAM i równocześnie specjalizował się w położnictwie i ginekologii (pod kierunkiem prof. Józefa Sieroszewskiego). Doktoryzował się w 1970 r. na podstawie pracy wykonanej w Zakładzie Anatomii pt.: „Układ naczyniowy tętniczo-żylny w łożysku ludzkim” – promotor prof. T. Wasilewski. Preparat łożyska z dokumentacji tego doktoratu znajduje się w Muzeum Anatomicznym Zakładu Anatomii Prawidłowej Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, przy ul. Żeligowskiego 7/9. Doktorem habilitowanym został w 1978 r. w oparciu o dorobek naukowy i pracę pt.: „Ocena wykładników morfometrycznych oraz badania mikroskopowe płodowego układu naczyń w przebiegu EPH gestozy”. Opiekunem pracy był płk prof. dr hab. J. Krajewski – kierownik Katedry i Kliniki Położnictwa WAM, a Jubilat od kilku lat pracował już na etacie w klinice. Był to czas ścisłej współpracy między Kliniką a Zakładem Histologii i Embriologii, owocem której były między innymi habilitacja Wacława Deca i doktorat Grzegorza Krasomskiego, a także publikacje dotyczące głównie zmian ultrastrukturalnych naczyń łożyska w gestozie.

W 1986 r. Jubilat otrzymał tytuł profesora.

W 1979 r. profesor Szpakowski został kierownikiem Kliniki Położnictwa w Katedrze, a następnie szefem Katedry z Kliniką Położnictwa i Ginekologii WAM. W okresie 2002–2008 kierował III Katedrą Ginekologii i Położnictwa z Kliniką Ginekologii i Położnictwa Uniwersytetu Medycznego (na terenie Instytutu – Centrum Zdrowia Matki Polki).

W latach 1988–1990 został powołany na stanowisko dyrektora Szpitala Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi.

Po zakończeniu działalności w Uniwersytecie Medycznym przez kilka lat pełnił funkcję rektora Wyższej Szkoły Biznesu i Nauk o Zdrowiu w Łodzi.

Był Naczelnym Specjalistą WP ds. Położnictwa i Ginekologii (1986–2002), Specjalistą Wojewódzkim (woj. łódzkie) oraz Łódzkim ds. Położnictwa i Ginekologii.

Ma bogaty dorobek publikacyjny, wypromował 15 dr n. medycznych, był opiekunem 7 prac habilitacyjnych (z tego pięciu zostało profesorami: płk Andrzej Malinowski, Przemysław Oszukowski, Krzysztof Szaflik, Jacek Wilczyński, Piotr Woźniak), a około 40 lekarzy uzyskało specjalizację z położnictwa i ginekologii.

Jest członkiem honorowym Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego. Został wyróżniony tytułem „Zasłużony Lekarz PRL”.

Po uzyskaniu tytułu profesora udałem się do M. Szpakowskiego do kliniki w CZMP z gratulacjami. Przygotowałem stosowną laurkę opartą na zdjęciu z 1958 r., na którym w prosektorium „Anatomicum” pomocnik asystenta Marian Szpakowski siedzi otoczony podchorążymi z mojej grupy studenckiej. Pamiątkowe zdjęcie zawisło na poczesnym miejscu w Jego gabinecie.

Czas wolny spędzał najczęściej w domu w podłódzkich Sokolnikach i najchętniej w towarzystwie wnuczek Karoliny i Aleksandry.

Był aktywnym członkiem Koła Łowieckiego „Szarak” w Łodzi.

Mieszka w przedwojennej kamienicy w centrum Łodzi, z małżonką Jadwigą. Syn Artur – absolwent Wydziału Lekarskiego WAM wybrał specjalizację „po ojcu”.

Pułkownik prof. dr hab. med. Hieronim Bartel (ur. 1938 r.), embriolog, histolog

Zostałem powiadomiony przez Panie z Sekretariatu Wydziału Wojskowo-Lekarskiego, że dziekan Pan profesor J. Olszewski zdecydował, że „mój jubileusz” odbędzie się na posiedzeniu w dniu 6 listopada 2018 r. Nie krygowałem się, było mi przyjemnie.

Poprosiłem płk. prof. dr hab. med. Stanisława Orkiszę, mego wieloletniego współpracownika, a aktualnie kierownika Katedry Nauk Morfologicznych i Zakładu Anatomii Prawidłowej Człowieka Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Rzeszowskiego, o przygotowanie informacji o mnie (relacja z „jubileuszu” opracowana przez płk. dr n. med. Piotra Jamrozika ukazała się w SKALPELU (12, 2018–2019, 5).

Wsluchiwałem się z uwagą, wraz z żoną (nasza jedynaczka wraz z rodziną od 25 lat mieszka we Francji, nie mogła przyjechać) co mówił o mnie laudator. Nie będę się krygował, podobało mi się. Zabrakło mi



Pułkownik prof. dr hab. med. Hieronim Bartel

tylko informacji, że studenci nadali mi pseudonim „Plemnik/Plemniczek”. Jestem nauczycielem od trzeciego roku studiów do dzisiaj, znam studentów i wierzę w ich zbiorową sprawiedliwość oraz mądrość.

A oto uzasadnienie dlaczego nadany mi pseudonim jest trafny.

Byłem od dawna wprost zafascynowany plemnikiem, chociaż badań nie podejmowałem. Plemnik to co prawda komórka, ale komórka zarazem szczególna, jakaś nietypowa. Wiele w niej niezwykłości, począwszy od historii jej odkrycia w 1677 r. przez Anthony van Leeuwenhoek, kupca bławatnego, a zarazem geniusza-odkrywcę z Delft, do subtelności mikroskopowo-elektronowych jego ważnej części składowej – akrosomu.

W czasie IX Międzynarodowego Kongresu Mikroskopii Elektronowej w Toronto w 1978 r. spotkałem dystyngowanego, starszego pana profesora Don W. Fawcetta z Harvard Medical School, pioniera badań ultrastrukturalnych plemnika, którego znałem z piśmiennictwa i chciałem poznać. Do dziś pamiętam wzruszenie jakiego doznałem. W oparciu o jego prace zamieściłem w podręczniku, po raz pierwszy 25 lat temu, szczegółowy opis ultrastruktury i rycinę plemnika człowieka.

Zdjęcie z mikroskopu skaningowego plemnika, penetrującego osłonę przejrzystą komórki jajowej w akcie zapłodnienia (absolutnie fantastycznie udokumentowany proces i nie ma znaczenia, że u chomika), koniecznie zapragnąłem zamieścić w podręczniku. Po wielu staraniach uzyskałem zgo-

dę autora dr. Ryuzo Yanagimachi z Nowego Jorku. Akrosom jest rodzajem spłaszczonego woreczka, zlokalizowanego na szczycie główki plemnika, wypełnionego enzymami proteolitycznymi niezbędnymi do „sforsowania” oocyty. Jego ultrastrukturę opisał, jako pierwszy prof. Fawcett w 1963 r.

Profesor Małgorzata Piasecka, z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, bada i dokumentuje w celach naukowych i diagnostycznych plemniki ludzkie. Znaną są, jej autorstwa, oryginalne „pokiereszowane obrazy” patologicznych akrosomów w mikroskopie skaningowym, będące zarazem użytecznym, wysublimowanym dowodem jednej z przyczyn niepłodności.

Profesor Zofia Bielańska-Osuchowska, grubo po osiemdziesiątce, przez kilka lat pisała książkę, która ukazała się już po jej śmierci pt. „Plemnik ssaka. Niezwykła komórka” (2018 r). To jedyny taki podręcznik polski i chyba jedyny na świecie.

Do programu ćwiczeń z embriologii wprowadziłem obserwacje żywych plemników myszy. Oczywiście do czasu kiedy można było mysz po prostu uśmiercić i łatwo wypreparować plemniki z kanalików nasiennych jądra, bez zgody Lokalnej Komisji Etycznej ds. Doświadczeń na Zwierzętach, na uzyskanie której nie było już mowy po ustawie z 2015 r.

Na okładce przedostatniego wydania i tegorocznego, szóstego wydania mego podręcznika „Embriologia” przedstawiono plemniki wokół komórki jajowej.

Dziwna komórka i taka ważna zarazem. Nie będę się krył, znam plemnik i podoba mi się. A pseudonim? Vox discipuli.

Najstarsi profesorowie Wojskowej Akademii Medycznej i ich jubileusze

Pułkownik prof. dr hab. med. Andrzej Denys (ur. 1939), mikrobiolog, wirusolog

Uroczystość osiemdziesięciolecia urodzin była niewątpliwie ważna dla Jubilata, ale miała w pewnym sensie wymiar symboliczny w historii Wydziału Wojskowo-Lekarskiego Uniwersytetu Medycznego, gdyż było już wiadomo, że wkrótce wydział zostanie zlikwidowany i dalszych jubileuszy nie będzie. Tym samym zapoczątkowany z kol. Denysem projekt „Jubileusze” był ostatni. Pierwsza część posiedzenia Rady Wydziału Wojskowo-Lekarskiego odbyła się 2 kwietnia 2019 r. Obrady prowadził dziekan profesor Jurek Olszewski.

Profesor przybył na obrady w „uroczystym stanie ducha”, w towarzystwie małżonki, syna, synowej i jej rodziców oraz dwojga wnuków. Przypadł mi w udziale zaszczyt przedstawienia sylwetki Jubilata, a w zasadzie sam się wybrałem, gdyż następczyni na stanowisku kierowniczym prof. Małgorzata Wasiela już nie pracowała.

Andrzej Denys urodził się w Kruszwie k/ Tuszyna. Matka zajmowała się domem, ojciec był handlowcem. Po wojnie rodzice, zanim osiedli na stałe w Łodzi, kilkanaście razy zmieniali miejsce pobytu w Polsce. A. Denys ukończył VIII Ogólnokształcącą Szkołę Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Łodzi, został wcielony do WCWM i rozpoczął studia w Fakultecie Wojskowo-Medycznym AM w Łodzi (1956–1962 r.).

Cała Jego kariera zawodowa, od wolontariusza (1962–1963 r.) do kierownika zakładu, jest związana

z profesorem Janem Chomiczewskim – kierownikiem Katedry Mikrobiologii Lekarskiej WAM i jednym z pierwszych dziekanów uczelni. Pod kierunkiem swego mistrza uzyskał stopień doktora („Badania nad wpływem chlorowodoru guanidyny na wirusy grypy w doświadczalnych zakażeniach zarodków kurzych i hodowli tkankowej” – 1968 r.) oraz został doktorem habilitowanym („Badania nad odczynowością krwinek białych i chemioterapią w grypie” – 1973 r.). W tym samym roku objął kierownictwo Katedry Mikrobiologii Lekarskiej po prof. J. Chomiczewskim. Był tym samym pierwszym absolwentem w historii Wojskowej Akademii Medycznej, który „objął katedrę” i również, jako jeden z pierwszych został profesorem (1982 r.)

12.03.1999 r. pożegnał się z mundurem, ale w dalszym ciągu kierował Katedrą Mikrobiologii Lekarskiej i Sanitarnej w WAM, a następnie w Uniwersytecie Medycznym (2002–2008).

Wypromował 25 doktorów medycyny, opiekował się 5 przewodami habilitacyjnymi, posiada imponujący dorobek naukowy, realizował projekty badawcze we współpracy z PAN, Politechniką Łódzką, Uniwersytecie Łódzkim. Uczestniczył w około 50 kongresach europejskich i światowych. Był doskonałym wykładowcą. W okresie kiedy pełnił funkcję kuratora Studenckiego Towarzystwa Naukowego WAM nawiązano współpracę ze studentami Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu w Szegedzie.

Pełnił funkcję specjalisty w dziedzinie mikrobiologii w MON oraz bakteriologii w województwach



Pułkownik prof. dr hab. med. Andrzej Denys

piotrkowskim i świętokrzyskim. Był ekspertem Ministerstwa Zdrowia ds. bioterroryzmu (i wykładowcą tego przedmiotu w UMed.).

Był członkiem Światowego Towarzystwa Badań nad Interferonem, Europejskiego Towarzystwa Mikrobiologii Klinicznej i Chorób Zakaźnych, Europejskiego Towarzystwa Biomodulacji i Chemioterapii, Nowojorskiej Akademii Nauk.

Wchodził w skład Komitetu Mikrobiologii PAN, Komitetu Etiopatogenezy Zakażeń Człowieka PAN. W Polskim Towarzystwie Mikrobiologów był przewodniczącym Krajowego Zarządu Sekcji Wirusologicznej.

Przez 35 lat był członkiem Rady Wydziału Lekarskiego WAM i Rady Wydziału Wojskowo-Lekarskiego Uniwersytetu Medycznego. Wyróżniał się w tym zacnym gronie – ilekroć zabierał głos w dyskusji w czasie posiedzeń plenarnych, bądź zadawał pytania w czasie doktoratów, bądź habilitacji niezmiennie zaczynał od „Bakterie są na świecie” i... kontynuował.

W latach 2006–2008 był prodziekanem Wydziału Wojskowo-Lekarskiego UM.

Po powołaniu w Łodzi Centrum Mikrobiologii i Wirusologii Polskiej Akademii Nauk został zastępcą dyrektora (1992–1998).

Ponad 20 lat pracował w prywatnej uczelni – Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi, pełniąc w niej w kadencji 2010–2011 funkcję rektora.

Był dziekanem Korpusu Oficerskiego.

Wśród licznych odznaczeń posiada Krzyż Oficerski OOP, Honorową Odznakę Miasta Łodzi, kilka nagród naukowych Ministra Obrony Narodowej.

Jesteśmy kolegami od dnia wcielenia do WCWM w 1956 roku. Po przeprowadzce naszego roku studiów, na trzecim roku (1959 r.) do, wtedy jeszcze budującego się kompleksu koszarowego przy u. Źródłowej 52, Andrzej miał zaledwie 500 m. do domu na ul. Uniwersyteckiej. W czasie przygotowań do egzaminów uczyliśmy się niekiedy razem w jego rodzinie.

Z nostalgią wspominam te czasy, przede wszystkim Jego cichą, wiecznie krzątającą się Matkę, która raczyła nas, a to herbatką z ciastem, a to talerzem pożywnej zupy, byle byśmy się tylko spokojnie uczyli.

Hieronim Bartel

Źródła

- Bartel Hieronim. Nasi Założyciele. Biogramy oraz wspomnienia o członkach Komitetu Założycielskiego Polskiego Towarzystwa Histochemików i Cytochemików. Via Medica. Gdańsk. 2017.
- Historia łódzkiej okulistyki. Opracowanie zbiorowe pod redakcją Janusza Czajkowskiego. Wydawnictwo Oftal. Sp. z o.o. Warszawa. 2000.
- Jeśman Czesław. Profesorowie i Docenci Wojskowej Akademii Medycznej im. gen. dyw. prof. Bolesława Szareckiego. Uniwersytet Medyczny w Łodzi. Łódź. 2008.
- Kto jest kim w polskiej medycynie. Informator biograficzny. Wydawnictwo Interpress. Warszawa. 1987.
- Kurnatowski Andrzej. Profesorowie i docenci Akademii Medycznej w Łodzi. 1965–1994. Wydawca Uniwersytet Medyczny w Łodzi. Łódź. 2004.
- Kurnatowski Andrzej. Kolejni profesorowie i doktorzy habilitowani Akademii Medycznej w Łodzi. Wydawca Uniwersytet Medyczny w Łodzi. Łódź. 2004.
- Miłkowski Jerzy. Wojskowa Akademia Medyczna. Pamiętnik Akademicki. Wydawnictwo Spartacus. 1997.
- Olszewski Jurek. Kartki z historii Wydziału Wojskowo-Lekarskiego UM w Łodzi w latach 2012–2019. Uniwersytet Medyczny w Łodzi. Łódź. 2019.
- Pajszczyk-Kieszkiewicz Teresa. Uniwersytet Medyczny w Łodzi. Sześćdziesięciolecie Wydziałów Medycznych 1945–2005. Uniwersytet Medyczny Łódź. Łódź. 2005.
- Who's Who in the World. ENCYKLOPEDIA ACTUS PURUS. Kto jest kim w Polsce 2004. Polska Narodowa Oficyna Wydawnicza. Poznań
- Złota Księga Polskiej Medycyny 2002. Redaktor naczelny Krzysztof Pikoń. Wydawnictwo Helion. Gliwice. 2002.

W trakcie pisania wspomnień korzystałem z pomocy Laudatorów (niektórzy udostępnili mi swoje prezentacje) oraz Członków Rodzin, w celu uściślenia dat oraz rozpoznania na zdjęciach osób uczestniczących w uroczystości. Wszystkim Paniom i Panom, których niekiedy wielokrotnie indagaowałem, serdecznie dziękuję.

Lekarz w służbie w ICCS (cz. I)

W oddziale ortopedycznym szpitala w Gdańsku – Oliwie czułem się bardzo dobrze. Była tam doskonała atmosfera, którą tworzyli lekarze tego oddziału „pod wodzą” ordynatora kmdr. dr. n. med. Witolda Kulczyńskiego. Swą przyszłość zawodową wiązałem z tym szpitalem. W szpitalu byłem prawie każdego dnia, a to dzięki dowódcy eskadry ratowniczo-łącznikowej Marynarki Wojennej w Gdyni, w której byłem na etacie.

Nie było mi jednak dane przejść na etat do Oliwy. Parokrotne raporty o przeniesienie mnie do szpitala kończyły się fiaskiem. Zdałem egzamin specjalizacyjny na piątkę, ale etatu wolnego w szpitalu nie było. Był za to w oddziale etat cywilny. Napisałem więc raport o przeniesienie mnie do rezerwy, „ponieważ chcę pracować w szpitalu wojskowym, a tylko etat cywilny jest tam wolny”. Po tym raporcie stało się bardzo burzliwie. Szef Służby Zdrowia Mar. Woj., *nomen omen – nie na pośmiewisko miał zgodne ze swą naturą nazwisko*, objechał mnie od góry do dołu, nie żałował swego gardła, chociaż ciężkich słów nie używał. Trochę mi groził.

W ten sposób pozbyłem się złudzeń co do możliwości prowadzenia dalszych rozmów z szefem służby zdrowia Marynarki Wojennej. W swej ocenie nie miałem już wiele do stracenia. Zatem podjąłem decyzję o udaniu się do Warszawy i dotarciu do Szefa Służby Zdrowia MON. Był nim wówczas płk (późniejszy generał) dr n. med. Tadeusz Obara. Zadzwońłem do niego. Wielu mi odradzało i nawet mnie straszło przed podejmowaniem takich kroków. Zadzwońłem. Pierwszą przeszkodą była sekretarka. Długo nie mogłem jej przekonać, że mam bardzo ważną sprawę do szefa, bardzo tajemną, i tylko jemu mogę ją zdradzić. W koło powtarzała – „czy był pan umówiony, w jakiej sprawie pan dzwoni”. Blefowałem, że jeśli mnie nie połączy z szefem to cała odpowiedzialność spadnie na nią. Wreszcie uległa, ale wcześniej broniła dostępu do pułkownika jak lwica.

Z szefem długo nie rozmawiałem. Powiedziałem mu, że bardzo mi zależy na osobistej rozmowie, że chciałbym stanąć do raportu służbowego. Nawet się zdziwiłem, gdy przywołał telefonicznie sekretarkę i nakazał jej, by podała mi termin wizyty. Termin nie był odległy.

Pojechałem. Przez biuro przepustek dotarłem do sekretariatu. Zostałem zaanonsowany szefowi i przed wejściem do Jego gabinetu zostałem poinformowany, oczywiście przez sekretarkę, bym nie za-

bierał szefowi zbyt wiele jego cennego czasu...

Chciałem się zameldować, ale pułkownik mi przerwał i powiedział – „niech kolega da spokój, jesteśmy sami”. Absolutnie go nie znałem i postanowiłem być jednak czujnym. Wiele razy słyszałem o takich numerach, nawet w WAM byłem świadkiem takiego „podpuszczania” przez przełożonego.

Kiedy już skończyłem regulaminową formułkę i pozwolił mi usiąść, zorientowałem się, że jednak jest inny niż opowiadano. Poza tym jeśli nie wyleciałem zaraz za drzwi, to była jednak szansa na to, że mnie wysłucha. Był trochę „przygotowany” do rozmowy, bo co nieco o mnie z dokumentów wiedział. Rzeczywiście mnie wysłuchał, łączył się nawet z płk. Zielonką, który przez bardzo wiele lat zajmował się kadrami w służbie zdrowia MON. Niestety, „bardzo chciał”, ale etatów w szpitalach nie było, przynajmniej dla mnie. Widząc beznadzieję rzuciłem wszystko na jedną szalę – „panie pułkowniku, chcę pracować na etacie w oddziale ortopedycznym, choćby na końcu świata”; wówczas miałem na myśli np. Przemysł.

Usłyszałem – „dobrze, dobrze kolego, będę o panu pamiętał”. Kazał mi napisać raport o przeniesienie i ... podał rękę na zakończenie audiencji.

Wracalem do Gdyni z nieustanną gonitwą myśli, w głowie miałem mętlik. Analizowałem każde jego słowo. W sumie niby fajny facet, ale lata spędzone w wojsku (wówczas już prawie czternaście lat) nie pozwalały mi na zbyt duży entuzjazm. Ostatecznie przecież niczego nie załatwiłem. Zostałem jedynie przyzwyczajony wysłuchany i wracałem w przekonaniu, że nie każdy szef jest zupakiem.

Miało to miejsce wczesną wiosną 1974 r. Dokładniej nie pamiętam, było już jednak ciepło. Minęło zaledwie kilka tygodni, gdy któregoś dnia, w czasie mego pobytu na bloku operacyjnym (w trakcie zabiegu) nasz szef co chwilę wpadał na salę operacyjną i mnie poganiał, „bo był jakiś ważny telefon z Warszawy”. Operację jednak musiałem dokończyć. Po niej zadzwoniłem do Warszawy na wskazany numer z gabinetu ordynatora. Nie pamiętam już kolejności rozmów. Rozmawiałem m.in. z szefem służby zdrowia:

- Pamięta pan naszą rozmowę?
- Oczywiście, panie pułkowniku – odpowiedziałem.
- Mówił pan, że pojedzie pan na koniec świata, byle jako ortopeda.
- Pamiętam.

Wspomnienia z odległych już lat

– Więc potrzebny jest mi ortopeda do Wietnamu, pojedzie pan? Muszę mieć odpowiedź w ciągu dwóch, trzech dni.



– Panie pułkowniku, pojedę! – wiem, że tą zdecydowaną odpowiedzią zaskoczyłem szefa.

Chwilę później dzwoniłem do Kadr MON. Głos w słuchawce z Warszawy nie budził wątpliwości, że rozmawiam z władzą. Na wstępie zostałem opieprzony za lekceważenie poleceń, za opieszałość itp., jak zwykle w wojsku za wiele rzeczy, których nie popełniłem, ani nie miałem zamiaru popełnić. W końcu usłyszałem pytanie – czy obywatel kapitan pojedzie do Wietnamu? Odpowiedź musimy mieć do jutra.

Byłem zaskoczony pytaniem, bo szefowi medycznemu już odpowiedziałem twierdząco. Czułem jednak podświadomie, że muszę odpowiedzieć zaraz, chociaż nic nie wiedziałem o samym wyjeździe, o charakterze tego wyjazdu. Jeszcze kilka miesięcy wstecz mówiło się w wojsku, nieoficjalnie, o wyjeździe oficerów i innych żołnierzy na wsparcie do Wietnamu Północnego. Uznałem więc, że to właśnie to, że pojedę tam do pracy w jakimś szpitalu polowym, a raczej dżunglowym.

– Obywatelu pułkowniku, mogę odpowiedzieć teraz – pojedę do Wietnamu.

Czułem, wręcz słyszałem zaskoczenie u mojego rozmówcy. O nic więcej się nie pytałem, a może powinienem?

Po chwili głos z tamtej strony polecił mi być najazutrz w Warszawie, i dodał tylko, że mój dowódca będzie o wszystkim wiedział.

Ostro – pomyślałem.

W Warszawie miałem trafić do JW 2000 przy ul. Żwirki i Wigury. Trafiłem. Byłem tam dobrze przed południem, ale moim rozmówcom wydawało się, że powinienem być u nich kilka dni wcześniej. Więc zgodnie z wojskową regułą zostałem ponownie „pouczony” co oni o mnie myślą i co ja powinienem dawno zrobić. A ja wiem, że w takich sytuacjach należy robić głupią minę, udawać swoje

zakłopotanie, bezśownie wyrażać skruchę i obietnicę poprawy (to chyba za Szwejkiem).

Tak też i zrobiłem. Następnie wysłuchałem poleceń związanych z przygotowaniem do wyjazdu. Miałem poddać się szczepieniom, na mieście zrobić ekspresowe zdjęcia do paszportu, pobrać pieniądze na zakup nowych sortów mundurowych, zgłosić się na komisję lekarską i wykonać jeszcze wiele innych czynności, których już nie pamiętam. Tym razem zlecone czynności były sensowne, tylko brakowało na ich wykonanie czasu.

Dowiedziałem się jedynie, że to moja sprawa oraz że wyjazd, a raczej wylot, będzie za trzy dni. Pozostały mi dwa dni na powrót do Gdyni i zrobienie zakupów – „bo wszystko ma być nowe, a przełożeni na to dają pieniądze”. Tak, to prawda – pieniądze dali, tylko czasu nie dali. Zgodnie z prawdą powiem jednak, że godziłem się na wszystko i nie narzekałem, by nie stracić okazji przeżycia pięknej przygody. Wtedy wyjazd na wojnę traktowałem jako przygodę – czy to można pojąć, zrozumieć...?

W jednostce specjalnej, jaką była JW 2000 przy ul. Żwirki i Wigury (na poły utajniona), przygotowującej do wyjazdów poza granice, znalazłem się popołudniem 8 lipca.

Zupełnie obce mi otoczenie. Odnoszą się do mnie nieufnie, z dużą rezerwą. Nie dziwię się specjalnie, siedzą tutaj już kilka miesięcy. Przeszli wielotygodniowe szkolenie, zapewne w dużej części nudne. A ja po prostu wpadłem na kilka godzin przed wylotem.

Wreszcie spotykam dwóch lekarzy, których twarze nie są mi obce – byli dwa, może trzy lata młodsi ode mnie i dobrze pamiętali mnie z Akademii – Karol Ludwik Rożen, dermatolog z Bydgoszczy i Janek Czernicki, neurolog z Łodzi.

W ten wieczór przed wylotem, w wielkiej tajemnicy, zostaję wprowadzony w różne sprawy, o które nie wypadało i nie było wolno się rozpytywać. Nie wierzą mi kiedy robię zdziwioną minę na wiadomość o Sajgonie, na wiadomość o wypłatach w dolarach, o naszym pobycie w Wietnamie Południowym. Tak, zdążyłem wcześniej usłyszeć o Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru, w której mamy pracować. Ktoś wspomniał o dolarach (sądziłem, że chodzi o wpłaty na konto w Polsce). Ale że będziemy mieszkać na terenie baz amerykańskich, stołować się za dolary w ich kasynach? Nie bardzo mi to „pasowało”, trudne to do pojęcia jeśli nie zna się całości spraw.

Wtedy też dowiaduję się dlaczego zostałem powołany w trybie alarmowym. Otóż nieznanym mi kolega chirurg, który praktycznie przeszedł całe szkolenie przed wyjazdem miał pecha i któregoś wieczoru nieopatrznie powiedział coś „niepolitycz-

nego” (co, nie wiem). Jakiś usłużny doniósł i chłopak ku swej rozpaczcy został odesłany do domu.

Dowiedziałem się też, że to płk T. Obara (wspominany już wcześniej Szef Służby Zdrowia WP) wskazał mnie, kiedy zwrócono się do niego o skierowanie do ośrodka przygotowań chirurga lub ortopedy. Po powrocie, na spotkaniu z nim, przypomniał mi żartobliwie co powiedziałem kilka tygodni przed wyjazdem – że pojadę nawet na koniec świata. Również żartobliwie odpowiedziałem, że dlatego bez żadnego słowa i w ciemno pojechałem na ten koniec świata.

9/10 lipca 1974 r. ... Byliśmy już bardzo zmęczeni, kiedy samolot podchodził do lądowania w Karaczi (Pakistan). Nieco trzeszczący w swych szwach, pewnie już leciwy Il-18, wylądował jednak miękko na wyznaczonym pasie. Wcześniej lądowaliśmy w Moskwie i w Taszkencie (Uzbekistan). Poszczególne odcinki pokonywaliśmy w około cztery godziny, a każdy przymusowy postój na lotniskach trwał także po cztery godziny. Dotąd nic szczególnego się nie wydarzyło, zwykły lot. Samo latanie jest dla mnie rzeczą zwykłą, bo wielokrotnie latałem śmigłowcami i lekkimi samolotami. Przecież służyłem wówczas w Morskiej Kawalerii Powietrznej, jak między sobą nazywaliśmy jednostki lotnicze Marynarki Wojennej.

Wracając do podróży – jedynie w Taszkencie potraktowano nas w sposób szczególny, niezbyt miły, zupełnie jak wrogów. Musieliśmy udać się do odosobnionej sali tranzytowej, wcześniej przy trapię zabrano nam paszporty (dyplomatyczne!); salę za nami zamknięto na klucz. Niestety bufet był tam także zamknięty, a sala pozbawiona była klimatyzacji (okien nie dało się otworzyć). Zbliżała się północ, było strasznie gorąco, duszno. Jedyna woda do picia była w kranie nad brudną umywalką w ubikacji. Gdy prosiliśmy o otwarcie bufetu usłyszeliśmy – „*nie rabotajet*”.

... W Karaczi (Pakistan) samolot podkołował z boku budynku tranzytowego, nieco dalej od głównego portu. Trochę poruszenia wśród pasażerów, kolegów z wyprawy, jak zwykle, gdy za chwilę mamy wysiadać i rozprostować kości. A w samolocie było bardzo ciasno, chyba w Warszawie dostawili dodatkowe fotele. Nie było mowy, by swobodnie pomieścić się ze swymi kolanami w przypisanym miejscu.

W chwilę po wygaszeniu silników i wyłączeniu klimatyzacji stała się rzecz straszna. Gwałtownie robi się duszno i brakuje świeżego powietrza. Patrząc na innych, oni też ociekają potem, ponownie siedli zrezygnowani w fotelach – jakby pozycja siedząca miała nieszczęśników uratować. Jakoś strasznie przeciągają się procedury i nie możemy wyjść na płytę. Lecimy w mundurach, jesteście obcą ar-

mią, do tego z kraju komunistycznego. Po bardzo długiej chwili, która trwała wieczność, możemy z paszportami w rękach opuścić pokład.

Wychodzę na zewnątrz znękany duchotą kabiny samolotu i ... zostaję porażony. Najpierw do mej świadomości dociera brak powietrza, mimo że jestem już na zewnątrz. Ogromna duchota i straszliwa wilgotność powietrza przyniata. Jakby wszystko naraz chciało obficie parować. Trzeba szybko dostać się do sali tranzytowej, tam jest klimatyzacja, tam jest ratunek. Spojrzałem w lewo. Zamurowało mnie, czegoś takiego jeszcze w życiu nie widziałem – tuż nad linią horyzontu, pomiędzy niebem a ziemią, zobaczyłem przeogromne złoto-czerwone słońce.

Brak powietrza – trudno, ale co będzie za kilka godzin, kiedy ta ogromna kula uniesie się i jeszcze lepiej przygrzeje?

Zimna coca i chłodne pomieszczenie ratują mnie przed śmiercią z przegrzania. W swej wyobraźni widzę czekające nas piekło – jeszcze cieplejszy Wietnam Południowy i jeszcze bogatszą w wilgoć deltę Mekongu. Czy to wszystko będzie można przeżyć?

Przestraszyłem się, jak nigdy dotąd. Co robić? Przecież nie lecę tam na krótką wycieczkę ani na krótki obóz przetrwania. Chyba, że jedynie na bardzo krótkie przetrwanie. Tam czeka mnie praca, o której zresztą nic nie wiem. Mam wrażenie, że przeceniłem swe fizyczne możliwości. Spoglądam wokół siebie i odnoszę wrażenie, że pozostali wcale lepiej nie wyglądają. Wydaje mi się nawet, że wielu, szczególnie starsi ode mnie, przeżywają poważniejsze katusze fizyczne i psychiczne.

... Chwilami nie wiem kim jestem i po co lecę. Mija prawie doba od opóźnionego startu z Warszawy. Niewygody w samolocie, ciasnota, brak wypoczynku, pogłębiają stres. Dotąd wszystko działa się tak szybko, że trudno było ochłonąć z natłoku myśli, wrażeń.

Jeszcze kilka dni temu była normalna praca. Na głowie miałem sprawy jednostki, a przede wszystkim pracę i naukę na oddziale ortopedii 7. Szpitala Marynarki Wojennej w Oliwie, kierowanym przez uroczego szefa.

Mimo to nadal jednak oczekiwałem, że przede mną prawdziwie męska, wielka przygoda. Owszem, w Wietnamie trwała wojna i na wycieczkę nas nie wysyłali. Wydarzeniami w świecie interesowałem się od zawsze i o toczącej się wojnie w Wietnamie też miałem pojęcie.

Minął rok z niewielkim okładem od zawartych porozumień paryskich w styczniu 1973 r. pomiędzy stronami konfliktu. Pamiętałem wówczas i pamiętam do dzisiaj zdjęcia z ofensywy Wietnamu Północnego aż do miasta cesarskiego Hue w 1972 r. Pamię-

tam zdjęcia z kontrofensywy amerykańskiej, zrównaną z ziemią twierdzę cesarską i powalony maszt w tej twierdzy, na którym kilkanaście lub kilkadziesiąt godzin powiewała flaga Wietnamu Północnego. Pamiętam zdjęcia filmowe z innych miast, które zostały zniszczone przez naloty dywanowe Amerykanów i w których zostały pogrzebane dywizje Północy. Wtedy jednak, w dniach poprzedzających nasz wyjazd, nie wiedziałem jeszcze, że zobaczę te miejsca na własne oczy.

Można by dzisiaj zapytać, czy to możliwe, że na kilka dni przed wyjazdem nie wiedziałem dokąd dokładnie mam polecieć. Jednak prawda jest i była wówczas taka jak to opisuję. Gdzie mógłby być wysłany oficer armii jednego z „demoludów”? Oczywiście, jedynie do Wietnamu Północnego, by służyć tam swym wsparciem.

W dniach przygotowań starałem się wyobrazić sobie jak to będzie w dżungli – czy tak jak to pokazywano w telewizji, czy jeszcze gorzej? A może będziemy w Hanoi lub w innym dużym mieście? Nie bardzo tylko rozumiałem do czego ma być potrzebny język angielski, który zresztą wówczas był nam powszechnie językiem wyjątkowo obcym. Ale dla czego mamy lecieć do Sajgonu?

Robiłem jednak zakupy, poddawałem się szczeniom, korzystałem z błyskawicznych usług krawieckich (poprawki w nowym mundurze, szycie koszul mundurowych z krótkimi rękawami, kompletowanie odzieży cywilnej do tropiku itp.), wypełniałem różne dokumenty i tylko chwilami myślałem co mnie wkrótce czeka.

... Nadal czekamy w Karaczi. W sali tranzytowej tylko Polacy. Może dlatego otwarte sklepy i bary, nie mówiąc o restauracji, są puste. Piliśmy jedynie zimną colę. Biedacy nie wiedzieli, że Najjaśniejsza wysłała swych rycerzy z 10 dolarami w kieszeni, na całą podróż trwającą blisko dwie doby.

Już nie wiem o ile i w którą stronę przesunąć wskazówki zegarka. Tracę poczucie czasu. Na kolejnym etapie podróży, w Kalkucie wszystko wygląda podobnie. Chociaż ludzie wydają się mniej dystygowani niż w Karaczi, za to ceny są niższe. Zmęczenie jeszcze większe, deszcz i wilgotność powietrza także. W sklepie wolnoślowym można kupić sztylety i fanfary samochodowe – głównie te przedmioty nam oferują. Na płycie lotniska pierwszy ogromny robał, na pewno egzotyczny, bez nazwy (dla nas), w końcu ustaliliśmy, że to na pewno jakiś nadzwyczaj wielki karakan. Po około czterech godzinach wsiadamy do samolotu. Na płycie pozostał, dla nas także egzotyczny, żołnierz z ogromnym staroświeckim karabinem. W czasie naszego postoju pilnował wrażego, komunistycznego samolotu. To już ostatni etap przed Sajgonem.

Tuż przed Sajgonem zaczyna samolotem strasznie pomiać. Kiedy raz po razie oślepiają nas błyskawice, rozmowy cichną. Czekamy co będzie dalej. Niby już jest Sajgon, przez chwilę pomiędzy chmurami widzieliśmy mnóstwo świateł tam w dole. Potem pilot zmienia kierunek, podchodzimy z innej strony. Pilot wyraźnie czegoś szuka, chyba lotniska, może pasa. Przez kilkanaście minut, nam pasażerom, wydaje się, że piloci zgubili adres. A przecież niedaleko od Sajgonu działa partyzantka, która chętnie by coś zestrzeliła, gdyby tylko przytrafił się jakiś aeroplan.

W nocy nie widać, czy to „niedobry” Amerykanin, czy też jakiś nieznanym im „przyjaciół”. Wreszcie w absolutnych już ciemnościach schodzimy do lądowania. Całe lotnisko jest zaciemnione. To chyba jednak wojna...

Wysiadamy. Witają nas nasi oraz delegacje pozostałych armii z Komisji. Jest trochę zamieszania. Prawie jednocześnie z nami ma przylecieć premier Wietnamu Południowego. Mam wrażenie, że służby porządkowe, w tym MP armii południowej, nie panują nad sytuacją. To wszystko przez tę wielką burzę, która niedawno przeszła nad Sajgonem, a która wymusiła prawie jednoczesne lądowania kilku samolotów. Nas, wojskowych skierowano do pomieszczeń recepcyjnych, gdzie były zastawione stoły. Byliśmy zaskoczeni gościnnością. Ale wkrótce okazało się, że to przygotowano dla premiera i jego gości. Musieliśmy opuścić te pomieszczenia. Za nami pozostały resztki na stołach, wyglądały one jakby przeszedł tajfun.

Baza Than Son Nhut. Tak nazywa się lotnisko i baza wojskowa na obrzeżach Sajgonu. Łączy w sobie ogromną bazę wojskową (USAF i lotnictwa Wietnamu Południowego), lotnisko cywilne oraz niewielkie lotnisko naszej Komisji, tj. ICCS – International Commission of Control and Supervision (Międzynarodowa Komisja Kontroli i Nadzoru).

Wypełnianie dokumentów, chyba na wizy pobytowe (?).

Kilka minut później nasi koledzy lekarze zabierają nas sanitarkami do obozu ICCS. Mnóstwo bram, posterunków, kontroli, wysokie płoty, zasieki, patrole. Początkowo staram się zapamiętać drogę, ale po chwili całkowicie tracę orientację. Już później okazało się, że na poznanie ogólnej topografii bazy potrzeba kilku dni. Niektóre obozy amerykańskie są dla nas niedostępne.

I wreszcie można rzucić się na łóżko w pokoju, który przypomina dwuosobową celę. A to głównie za sprawą maleńkiego okienka pod sufitem osłoniętego siatką i piętrowego łóżka. Ale klimatyzacja centralna działa bez zarzutu. Długo to nie trwało. Czekają koledzy, ci co jutro wracają do Kraju, ci których właśnie podmieniamy. Są ciekawi wiadomości

z Polski, a także smaku polskiej suchej kielbasy i ciemnego razowego chleba (te specjały wieźliśmy z Warszawy specjalnie dla oczekujących kolegów, jak i trochę dla siebie na najbliższe dni).

My z kolei ciekawi jesteśmy tego jak jest w tym Wietnamie, jak się żyje, za ile, co i gdzie kupowali, jakie tutaj są zwyczaje itp. Osobiście miałem wiele pytań do lekarza, który opuścił Can Tho – miejsce, gdzie mam się udać na wielomiesięczną służbę – był nim mjr dr med. Wojciech Klepko, doskonały chirurg, adiunkt w Klinice Chirurgii Ogólnej CKP WAM w Warszawie. Po Wojtku miałem przejąć obowiązki, a także mieszkanie, sprzęt medyczny itp.

Po raz pierwszy w życiu poczułem się „bogaczem”. Wypłacono nam część naszych należności w dolarach i w piastrach (dongach), miejscowej walucie. Dopiero dzień wcześniej, w samolocie, dowiedziałem się, że w Wietnamie będziemy samodzielnie się utrzymywać, korzystać z kasyn amerykańskich, że nie będziemy „na wspólnym kotle”.

Jeszcze tej pierwszej nocy, już po rozmowach, poszliśmy do kasyna, by się pożywić. Kolacja tania i dobra. Później w sąsiedniej sali, przy klubowych stolikach, słuchaliśmy dobrego zespołu muzycznego i popijaliśmy piwo. Zupełnie jak ... w Ameryce ... prawdziwy zawrót głowy...

Bardzo krótki był nocny odpoczynek. Pobudka przez radio, prysznic, szybkie śniadanie i jesteśmy na porannej odprawie. Wiele informacji, w tym przydziały, już oficjalne (wcześniej „mówiło się, że jeden tu, drugi tam...”).

Jeszcze zdjęcia u fotografa w bazie, niezbędne do sporządzenia nam dokumentów tożsamości, bo paszporty już nam nasi odebrali. A były fajne, dyplomatyczne, granatowe. Ale mieliśmy je tylko przez drogę. Otrzymamy dokumenty wydane przez miejscowe władze i szefostwo ICCS, stwierdzające, że jesteśmy dyplomatami, należy się nam ochrona i pomoc. Jednocześnie dokument ten jest przepustką na tereny baz ICCS i w ogóle dokumentem tożsamości, jedynym. Później okaże się, że podobne dokumenty mają też członkowie innych delegacji. Ale czy zachowali paszporty – tego nie wiem. Przypuszczam, że mieli i jedno i drugie, zapewne poza Węgrami.

Tylko nasze mundury jakoś nie pasują do wietnamskiego klimatu.

Po południu pożegnanie starej zmiany – wracają do Polski. Potem wizyta u dr. Mirosława M. Cywil z MSW, lekarz, był on doradcą ambasadora ds. zdrowotnych, a więc pośrednio naszym przełożonym. Wtedy byłem zaskoczony taką podległością służbową, nawet mi się to nie podobało. Podobnie po latach nie mogłem zrozumieć i z pewnym trudem pogodziłem się

z tym, że ministrem Obrony Narodowej może być cywil. Co to znaczy wieloletnie przyzwyczajenie...

Doktor Mirosław wyprowadził nas do miasta, w tym na targowisko. Nic nie kupiliśmy i z wielką radością wróciliśmy do bazy. Ale wrażenia dotyczące śródmieścia były pozytywne. Centrum miasta z całą pewnością pamiętało kolonialne czasy Francuzów. Ładne, solidne budynki rządowe, parlamentu, a także biurowce i hotele (w tym kilka nowych) oraz ładny teatr. Tylko wszędzie po ścianach i sufitach łążą blade-cieliste jaszczurki.

Przedmieścia są bardzo różne – bogate, z przepychem urządzone wille, a raczej pałace oraz skromne domy mieszkalne i nawet lepianki. Na dalekich przedmieściach, tam gdzie jest jakaś woda (kanały), stoją kiepskie chałupki z drewna, trzciny i blachy, posadowione na palach, tyłem zwrócone do tej wody, tzn. kibelkami i „łazienkami”. Niestety, dość często widzieliśmy na ulicach bezdomnych, całe rodziny bezdomnych, koczujące na chodnikach, leżące na gazetach i szmatach. Niesamowite kontrasty.

Na wspomnianym targowisku kilka dni wcześniej zastrzelono Amerykanina. Mamy świadomość, że Amerykanin na ulicy niewiele różni się od Polaka („na miasto” wyjeżdżaliśmy w ubraniach cywilnych). Więc nie czekamy wieczoru.

Przed snem ponownie gościmy w klubie i powoli sączymy drinki przy ładnej muzyce. Muzyka dobra, ale dziewczyny, które śpiewają, jeszcze ładniejsze. Są to siostry, podobno po rodzicach z mieszanego małżeństwa francusko-wietnamskiego. Mam wrażenie, że wcześniej takich piękności nie widziałem. Podobnego zdania są też inni koledzy.

To tutaj, przy drinku poznałem Jerzego Wiśniewskiego, tłumacza, w Warszawie lektora języka angielskiego na UW. Okazał się przemiłym facetem. Przy kolejnym drinku dowiedziałem się, że i on ma przydział do Can Tho. Uznałem to za bardzo dobrą wiadomość i jak okazało się po wielu miesiącach – miałem rację.

W polskiej Delegacji było nas siedmiu lekarzy: trzech na stałe przebywało w Sajgonie (mjr Kazimierz Kowalczyk – internista, nasz szef, kpt. Ludwik Rożen (Karol) – dermatolog, kpt. Jan Czernicki – neurolog), pozostała czwórka zabezpieczała medycznie Regiony: w Bien Hoa kpt. Kasperek (nie pamiętam imienia), w Da Nang kpt. Wojciech Dorosz, w Pleiku kpt. Jerzy Adamus, no i ja w Can Tho i jednocześnie w My Tho.

Za dwa dni rozjedziemy się do swoich Regionów. Regiony ICCS odpowiadają Regionom – okręgom wojskowym armii Republiki Południowego Wietnamu (RVN). Z kolei każdy Region Komisji dzieli się na Grupy Lokalne, odpowiadające prowincjom

(powiatom). W Regionie znajduje się szef, jego zastępca (politruk lub oficer „dwójki”), tłumacz, czasem oficer operacyjny (sztabowy), prawie zawsze lekarz – w moim przypadku jestem medykiem na dwa Regiony, tj. na całą Deltę Mekongu, oraz oficerowie przeznaczeni do służby w Grupach Lokalnych (tam już tylko pojedynczo, w towarzystwie oficerów z innych delegacji narodowych).

Obsługą lotniczą w ICCS zajmuje się firma „Air America”; powszechnie wiadomo, że jest to agenda CIA, pilotami są oficerowie US Air Force w cywilu, chociaż na tylnych powierzchniach swych kasków mają wypisane swe stopnie wojskowe i nazwiska.

Air America ma do wyłącznej dyspozycji Komisji śmigłowce i małe samoloty pasażerskie, a także jeden DC9. Obiekty latające, podobnie jak samochody, są oznaczone wielkimi czarnymi literami „ICCS” na białym tle. Jest stały plan – rozkład przelotów między regionami i grupami lokalnymi; poza tym są tzw. „special fly” (np. przeloty VIP-ów, medyczne – medevac, etc.).

I wreszcie oczekiwany wylot z Sajgonu, chociaż jest to też wylot w nieznaną. Trochę jestem już znudzony towarzystwem jednego z kolegów lekarzy.

Śmigłowcem Air America na służbie w ICCS, prawie pionowy start, później wspinające się kółka w górę (spirale). Jeszcze nad lotniskiem musimy uzyskać wysokość, która zabezpieczy nas przed partyzanckim ostrzałem z ziemi.

Śmigłowcem UH-1H Bell, powszechnie znany i jednoznacznie kojarzony z wojną w Wietnamie, sprawia wrażenie bardzo solidne i takie bardzo bojowe. W Polsce często latałem śmigłowcami, głównie Mi-2 i Mi-4, zarówno w jednostce ratownictwa morskiego w Darłowie, a także w eskadrze ratowniczo-łącznikowej w Gdyni. Byłem bardzo ciekaw jak to będzie z tymi „amerykanami”, które mają tylko dwie łopaty i jeden silnik. Jednak już po pierwszym starcie nabrałem przekonania i zaufania do tych śmigłowców, a przede wszystkim do doskonałych pilotów. Pamiętam, że śmigłowiec zaskoczył mnie swą siłą okazaną przy pionowym starcie. Nie musiał startować jak samolot, z rozbiegiem, pomimo gorącego i rozrzedzonego powietrza. Starty i lądowania jakie demonstrował, w mej ocenie, nie byłyby możliwe do wykonania przez nasze Mi-2.

Początkowo lubiłem te loty, chociaż nigdy nie leciałem dla przyjemności, a tylko gdy zachodziła taka potrzeba. Wszyscy pamiętaliśmy, że w kwietniu 1973 r. (w pierwszych miesiącach działalności ICCS) Viet Cong ostrzelał dwa śmigłowce Komisji, z których jednemu udało się wylądować, a drugi spadł. W zdarzeniu tym zginęli oficerowie Komisji, w tym Kanadyjczycy i Węgrzy. Jedynie Polak ocalał, chociaż stracił nogę. Po tym zdarzeniu Kana-

da wycofała się z Komisji – na jej miejsce wszedł Iran, wówczas jeszcze cesarski, imperialny z nazwy.

Wielokrotnie śmigłowce lądowały wśród wysokich przeszkód albo na maleńkich betonowych platformach na rzece. Śmigłowce były dobre, a piloci jeszcze lepsi. Jedyny mankament tych śmigłowców to ich wielka hałaśliwość wewnątrz i straszne drgania. Pod tym względem Mi-2 były nieco lepsze.

Wewnątrz UH-1H nie było żadnych osłon akustycznych lub tapicerki, za wyjątkiem mat izolujących termicznie ściany kabiny od przedziału silnika. Na pewno nie były to salonki.

Leciliśmy na południe, do delty Mekongu, do stolicy tego Regionu – Can Tho. Wkrótce też ukazały się rozległe pola ryżowe poszatowane w nieregularną szachownicę, poprzecinane meandrami rzek i kanałów Mekongu. Ogromne rozlewiska z maleńkimi groblami i pewnie miliardami komarów. Ziemi w tej delcie niewiele widać, rzadko widoczne są wioski, częściej pojedyncze chałupki. Zaskakująca była obecność grobów obok niektórych domostw. Nie przypominam sobie bym później widział cmentarze w naszym rozumieniu, poza terenami góorskimi (na Płaskowyżu Centralnym). Wreszcie większa „wyspa” wśród tej wody. Miasto Can Tho i tuż obok niego wielka baza lotnicza wojsk amerykańskich i wietnamskich. Dalej, w kierunku zachodnim od miasta widoczna jest dżungla.

Teraz ostra spirala w dół i nareszcie wysiadamy, dobrze wytrzęsieni i ogluszeni. Byliśmy pouczeni o zwyczajach panujących w Komisji, więc widok stojących w szeregu delegacji na nasze powitanie mnie nie zaskoczył. Później wielokrotnie powtarzaliśmy ten ceremoniał. Każdemu trzeba podać rękę i przedstawić się, z obowiązkowym uśmiechem na twarzy.

Na szczęście takie powitania odbywają się bez przemówień, więc niewiele czasu upłynęło jak znaleźliśmy się w swych mieszkaniach. Tyle, że zamiast przejść przez furtkę na skróty, należy wsiąść do samochodu, wyjechać z bazy wojskowej jedną bramą na ulicę, przejechać tą ulicą mniej niż sto metrów i przez drugą bramę wjechać na teren ICCS. Każdorazowy taki przejazd to blokowanie ruchu na tej ulicy przez wietnamskie MP i policję.

Nasz teren to wydzielony (ale bez płotów) kawałek bazy lotniczej. Na teren ICCS swobodny wstęp mają Amerykanie, personel lotniska, jako że dzielimy z nimi (czy raczej oni z nami) kasyno, tutaj nazywane messą. Teren Komisji był dość spory, chociaż wielkości nie potrafię dzisiaj określić. Mieściły się na nim nasze baraki biurowe (z zewnątrz wyglądające jak wielkie hangary), barak z centrum łączności radiowej i z centralą telefoniczną, baraki ochrony, sklep PAE, kuchnia wietnamska, dwa baraki miesz-

kalne dla przyjeżdżających VIP-ów i innych gości i wreszcie nasze baraki mieszkalne. Najbliżej messy są zlokalizowane wielkie cztery przyczepy mieszkalne dla szefów delegacji w Regionie, a na końcu messa z zapleczem i budynek ambulatorium. PAE (Pacific Architects and Engineers) to firma logistyczna, od wielu lat zaopatrująca, także sprzętowo, US Army, a w czasie działania ICCS także naszą Komisję. Sklep PAE znajduje się na terenie zajmowanym przez USAF. Na prawie darmowe papierosy, alkohole etc. (z banderolą „tylko dla żołnierzy w Wietnamie”) mamy miesięczne, aż nadto potrzebne, przydziały.

Pomiędzy biurami a barakami mieszkalnymi był plac z masztami flagowymi (ICCS i państw członków Komisji) oraz parking z oddanymi do naszej dyspozycji samochodami, oznaczonymi na bokach dużymi literami „ICCS”. Każda delegacja miała do dyspozycji kilka samochodów, w tym spory sedan dla szefa (nam też służył), jeepy otwarte i kryte oraz, tam gdzie był lekarz, samochód sanitarny.

Moje mieszkanie to trzypokojowy „apartament” z łazienką w baraku mieszkalnym (zajmowałem po-

łową tego baraku). Duży pokój z aneksem kuchennym, z dużą lodówką i elektryczną kuchnią. Pozostałe dwa pokoje wyposażone skromnie jako sypialnie. Kilka tygodni później mieszkanie przemeblowałem i częściowo wymieniłem w nim meble; stało się tak po uratowaniu życia Mr Bilda.

W „salonie” znajdowała się też szafa z lekami i torbami medycznymi – widać było, że będę miał sporo pracy – tak na oko widać, że wielu niezbędnych leków nie ma, pozostały po nich jedynie opisujące karteczki. O sprzęcie niewiele mogę powiedzieć, bo to trzeba dopiero sprawdzić.

Po kąpieli i krótkim odpoczynku udaliśmy się na rekonesans do miasta. Nic nadzwyczajnego; w Sajgonie było dużo więcej szykownych i ładnych kobiet, miasto bez reprezentacyjnego centrum, sporo kramów i zaduchu, szczególnie przy straganach z rybami lub z mięsem.

plk w st. spocz. dr n. med **Bogdan Sleboda**
III kurs WAM
(c.d.n.)

plk w st. spocz. dr n. med. Bogdan Kazimierz Sleboda

Urodzony 14 maja 1942 r. w Poznaniu. Matura 1960 r. (I Liceum Ogólnokształcące w Poznaniu). Studia na Wydz. Lekarskim WAM 1960–1966 (III kurs, dyplom lekarski nr 818).

Staż podyplomowy w 2. CSK WAM w Warszawie 1966–1968.

Starszy lekarz w eskadrze ratownictwa morskiego Marynarki Wojennej w Darłowie 1968–1971 (wolontariat w Szpitalu Powiatowym w Sławnie), lekarz w eskadrze ratowniczo-łącznikowej w Gdyni 1971–1974 r. (wolontariat w 7. Szpitalu Marynarki Wojennej w Gdańsku-Oliwie).

Służba w ICCS w Wietnamie Południowym 1974/1975. Starszy asystent Oddziału Ortopedii w szpitalu wojskowym w Szczecinie 1975–1980 (ostatni rok zastępca komendanta ds. leczenia). Ordynator Oddziału Ortopedii szpitala wojskowego w Poznaniu 1980–1999.

Dowódca polskiej grupy medycznej, konsultant ortopeda, podczas operacji „Pustynna Burza”, w szpitalu ewakuacyjnym w Al Jubail (Arabia Saudyjska) 1991. Komendant (pierwszych 5 miesięcy zastępca komendanta) szpitala polowego w UNIFIL (Liban Południowy) 1993–1995 i 1996–1997. Od 1 stycznia 2000 r. renta wojskowa w związku ze służbą. Od 1982 r. biegły sądowy.

Specjalizacja I stopnia w zakresie ortopedii i traumatologii narządu ruchu 1972 r., II stopnia 1976 r.



Doktorat 1982 r.: „Analiza radiologiczno-kliniczna zmian kształtu i struktury trzonów kręgowych u osób z zespołem bólowym” (promotor prof. dr hab. n. med. Donat Tylman).

Pomysłodawca i organizator I Konferencji Naukowo-Szkoleniowej Ortopedów W.P. w 1984 r. w Poznaniu.

Veni, vidi, vinum (cz. XXVIII)

Kryminalne zagadki wina

Mrożąca krew w żyłach opowieść musi zawierać kilka elementów. Niezbędne są skrajne uczucia: miłość, nienawiść, niepohamowane pragnienie czy zemsta. W tle muszą być wielkie pieniądze, a wszystko to powinno być spięte wątkiem kryminalnym. Taka też będzie moja dzisiejsza opowieść o winie. Wszystkie te elementy pojawiają się też w wątku wspomnieniowym mojego felietonu. Nie ma więc co przedłużać, tylko trzeba za radą Hitchcocka wywołać trzęsienie ziemi, potem napięcie będzie już tylko narastać.

Takim też trzęsieniem ziemi w czasie moich studiów była informacja, że jeden z moich dowódców na WAM-ie obronił dyplom i stał się magistrem pedagogiki w specjalności wychowanie techniczne. Cóż, nie wywołało to może zdziwienia, gdyż wówczas uzyskanie owego stopnia naukowego było niezbędne do awansu na stopień oficera starszego. Mój dowódca uchodził zaś za oficera o niezwyklej inteligencji i elokwencji, z profesjonalnym podejściem do podlegających mu podchorążych, jakby zdolności psychologiczno-pedagogiczne były wpisane w jego genotyp. Wszyscy dodatkowo przekonani byli, że umie zbudować karmnik dla ptaszków albo skrobaczkę do ryb z kawałka drewna i kapsli od piwa, a więc posiada wszystkie niezbędne walory, aby taki tytuł posiadać.

Tu następuje moment zwrotny opowieści, mianowicie dowódca po uzyskaniu owego tytułu, przepelziony dumą, umieścił napis na drzwiach swojej kancelarii „mgr.” (a owa kropka po skrótowcu nie jest tu błędem drukarskim). Takowa wizytówka pojawiła się na drzwiach jego gabinetu i mimo, że skrót dotyczył mianownika liczby pojedynczej opatrzony był kropką. Podchorążowie w pierwszej chwili sprawdzili, czy też ta nieszczęsna kropka nie jest wytworem procesu trawienia muchy albo innego niezdyscyplinowanego owada, ale okazało się, że nie. Jedynym ze wszech miar logicznym rozwiązaniem owego rebusu, na które wpadli przyszli lekarze było, że może wcale nie chodzi tu o tytuł naukowy, ale owe „mgr” to skrót od słowa murgrabia. Wskazywałyby na to zarówno możliwości, które drzemały w naszym dowódcy, jak i stereotyp murgrabi, granego genialnie przez Mariana Kociniaka, z serialu „Janosik”. Jedno jest pewne, następnego dnia hipoteza podchorążych bezzwłocznie została wprowadzona w życie, a na drzwiach kancelarii naszego przewodnika przez meandry służby wojskowej pojawiło się właściwe rozwiązanie nieszczęsnego skrótowca.

Jakież było zdziwienie braci studenckiej XXXVI kursu, gdy okazało się, że jednak wcale nie chodziło o murgrabię, tylko o zwykły, ale znaczny tytuł naukowy. Jeszcze większy szok wywołała w nas reakcja naszego pryncypała, gdyż zamiast być wdzięczny swoim podchorążym za troskę, on rozpoczął zakrojone na szeroką skalę poszukiwania sprawcy owego, według mnie dość sympatycznego rozwinięcia nieszczęsnego skrótowca. Poczuliśmy się jak potencjalni sprawcy w filmie kryminalnym, a nasz przełożony dwojąc się i trójąc, stosując metody porucznika Columbo, Borewicza i Żbika jednocześnie, próbował znaleźć winnego owej (jakby to dziś stwierdzono) manipulacji podkopującej bezpodstawnie dobre imię oficera polskiej armii. Efekt dochodzenia był także analogiczny, jak w wielu sytuacjach obecnie. Sprawcy nie ujęto, ale dochodzenie było jeszcze długo w toku, podjęto zaś wszelkie możliwe czynności, aby zapobiec takim niegodnym, uderzającym w polską rację stanu, działaniom w przyszłości.

Do kompletu opowieści brakuje tylko wątku finansowego. Niestety i ten się pojawił. Za karę część podchorążych nie dostała przepustek na weekend i nie została wyprowiantowana, a co za tym idzie, została pozbawiona środków na rozwijanie swoich hobby, choćby degustacji. Jak tu nie znaleźć analogii z czasami współczesnymi, kiedy to tylko odpowiednie dystrybuowanie środków pozwala na rozwój odpowiednich postaw, choćby w dziedzinie mass mediów czy kultury?

Świat winiarski też jest pełen wątków kryminalnych. Kradzieże, oszustwa oraz morderstwa to nic nowego i dziwnego w tym świecie od wieków. Jak macie ochotę o tym poczytać, warto choćby sięgnąć do książek Michała Bardela „Zbrodnia i wina” czy „Mokra robota”.

Ja dzisiaj opowiedzieć wam chcę jednak krótko historię **Rudiego Kurniawana**. Ten pochodzący z Indonezji 45-latek 7 listopada 2020 roku (po 8-letniej odsiadce) opuścił więzienie i został deportowany do ojczyzny. Jego historia to opowieść o genialnym fałszerzu, a zarazem znawcy win, który dzięki swoim zdolnościom, ze współczesnych win był w stanie odtworzyć, a właściwie spreparować, choćby najlepsze burgundy. Wcześniej, handlując najlepszymi i najdroższymi winami, wniknął w ten ekskluzywny świat ogromnych pieniędzy i domów aukcyjnych. To także opowieść o ludzkich uczuciach, pragnieniach. Więk-

szość z nas chce przecież być wyjątkowa, chce doznać czegoś co zarezerwowane jest tylko dla garstki, i z tego korzystał Rudy Kurniawan. Moglibyście spytać czemu podrabiał akurat burgundy? Zdecydowanie z powodu faktu, że to one co roku stanowią większość wśród 10 czy 20 najdroższych win świata.

W Burgundii zaś, jak część z was już wie, uprawia się właściwie tylko dwie odmiany winogron, białe – chardonnay i czerwone – pinot noir i to właśnie o niej opowiem wam kilka słów.

Pinot noir to jedna z najszlachetniejszych odmian winogron na świecie. Pochodzi ze wspomnianej Burgundii, gdzie uprawiana jest od IV wieku (choć pierwsze dokumenty w których się pojawia pochodzą z XIV wieku). Używana jest także do produkcji wina musującego w Szampanii. Poza tym uprawiana jest w Alzacji, Jurze czy Dolinie Loary. Obecnie uchodzi za jedną z najbardziej umiędzynarodowionych odmian winogron, gdyż można ją odnaleźć w wielu miejscach w Europie jak i na świecie, często kryjącą się pod innymi nazwami, jak choćby we Włoszech (pinot nero), Niemczech (spatburgunder), Austrii (blauburgunder) czy też w Europie Środkowo-Wschodniej. Słynne są też wina z tej odmiany pochodzące z Nowego Świata – choćby z Australii, Tasmanii, Nowej Zelandii, Kanady, czy wreszcie Stanów Zjednoczonych, gdzie poza Francją jest jej największy obszar nasadzeń.

Jest to niestety odmiana kapryśna w uprawie, niezbyt wydajna i podatna na choroby grzybowe. Wymaga raczej dobrego nasłonecznienia, ale zarazem niezbyt wysokich temperatur, najlepiej udaje się na glebach wapiennych. Daje jagody o cienkiej skórce, co powoduje, że wina zrobione z tej odmiany są raczej słabo wybarwione. Z tych powodów wymaga ona niezwyklej staranności zarówno na etapie uprawy, jak i późniejszej pracy w czasie winifikacji produktu końcowego. To dlatego zdarzają się wina z tej odmiany o co najmniej przeciętnej jakości, jak i egzemplarze, które są w sferze marzeń każdego miłośnika wina.

Wina młode są raczej kwasowe i ostre, te najwybitniejsze dojrzewane przez wiele lat, genialnie owocowe i złożone. Dominują w nich nuty czerwonych owoców (wiśnia, truskawka, malina, czerwona porzeczka), niekiedy też nuty czereśni, śliwki, lukrecji, a nawet obory. Dojrzewanie ubogaca paletę aromatów o trufle, tytoń, wanilie, dym oraz ściółkę leśną, jednak wina te zawsze pozostają zwiewne, ezoteryczne, delikatne.

Myszę, że w takim razie powinienem dodać jeszcze kilka słów o zasadach apelacyjnych Burgundii. Po pierwsze, w tej części Francji najwyższa jakość wina wiąże się z najlepszymi działkami – obszarami terenu, z którego pochodzi wino, który często podzielony jest na małe parcele należące do różnych

właścicieli, a poziom rozdrobnienia producentów jest ogromny. Najlepsze działki, z których pochodzą wybitne pinoty, mieszczą się w okręgu Cote de Nuits, zaś piramida jakościowa zaczyna się od ogólnej apelacji AOC Coteaux Bourguignons i kolejno obejmuje AOC Bourgogne, apelacje podregionalne (np. Bourgogne Hautes Cotes de Nuits), apelacje gminne (np. Chambolle-Musigny, Gevrey-Chambertin, czy Vosne-Romanee), premiers cru (np. Les Beaux Monts, Les Suchots) aż po grands cru. I właśnie to te ostatnie należą do najdroższych win świata i stanowią pragnienie oraz marzenie każdego maniaka wina, żeby choć raz w życiu spróbować takiego trunku jak choćby Romane-Conti czy La Tache, których ceny w zależności od rocznika wynoszą od kilku do kilkudziesięciu tysięcy złotych za butelkę.

No cóż, nie ma szans, aby na takich trunkach wśród braci WAM-owskiej pan Rudy u szczytu kariery przestępczej mógł zarobić. Nie znaczy to, że nie warto szukać swojego pinota z Burgundii w dobrej cenie.

Tym razem puentą mojego artykułu będzie zaproszenie do oglądnięcia Oskarowego filmu (najlepszy scenariusz adoptowany – 2005 rok) „Bezdroża” w reżyserii Alexandra Payne’a. To wyjątkowa opowieść o mężczyznach w średnim wieku (może też o nas), o dylematach życia, o porażkach i sukcesach, o poszukiwaniu tego co w życiu najważniejsze. To także film o winie (a pinot noir jest tu pierwszoplanową gwiazdą) i ludziach zakręconych na jego punkcie. Ja sam, oglądając głównego bohatera Milesa (granego przez Paula Giamatti’ego), znajduję w nim siebie, z jego i moim wariactwem. Nasze zachowania winomanów, jak choćby rytuał degustacji, te wszystkie dziwne miny, siorbanie, specyficzny język opisywania smaków, dla patrzących z boku mogą się wydawać delikatnie mówiąc abstrakcyjne. Ale to jest nasz świat entuzjastów wina i wiem, że jest nas wielu. Żywię też nadzieję, że i może ktoś z was się do nas „winnych szaleńców” przyłączy.

Przemysław Michna

XXXVI WAM

4.03.2021



Kraina dzieciństwa, kraina młodości, kraina dojrzewania

*Znasz li ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa,
Pomarańcz blask,
majowe złoci drzewa*

„Do H***, Wezwanie do Neapolu”
Adam Mickiewicz, Neapol 1829

Kraina dzieciństwa

Każdy z nas, chciał albo niekoniecznie, ale jednak się urodził, czego najlepszym dowodem jest fakt, że istniejemy, różnie długo już i nie wiedzieć jak długo jeszcze. Gdzieś się wychowywał, w jednym miejscu, w wielu, jeśli dobry los pozwolił mu stać się jednym z Białych Mamutów Wojskowej Służby Zdrowia (BMWSZ), po ukończeniu Wojskowej Akademii Medycznej, Naszej Nieboszczki Akademii, przy ulicy Źródłowej 52 w mieście Łodzi, a w dodatku pochodziło się z rodziny, wg „starego stylu”, wojskowej, to każde z rodzeństwa urodziło się w innym garnizonie, gdyż wojsko było wtedy mobilne, a nie dyskusyjne, brało się „łuki w juki, a łupy w troki” (Rycerzy trzech, Andrzej Waligórski) i „hajda trojka, śnieg puszysty!”. W ten sposób młody dziedzic rodu miał duże szanse przeżywania tytułowych okresów dorastania w przeróżnych okolicach, bardzo często polygonowych, stając się może nie „obywatelem świata”, ale obywatelem polskiego wojskowego świata, bywalcem kasyn, klu-

bów żołnierskich, różnych WDW (Wojskowych Domów Wypoczynkowych) lub SNDW (Sezonowych Nieetatowych Domów Wypoczynkowych). Tak hartowała się stal, aż się zahartowała, moja córka na poligonie zimowym, na szczęście krótkim, w Beniaminowie koło Radzymina, nie mogąca z zimna trafić mlecznym zębem na mleczny ząb, „wyszła na ludzi”, skończyła wspaniałe medycynę, od czterech lat jest prawdziwym profesorem, ma czworo dzieci i męża podpułkownika! No i niezapomniane wrażenia z poligonu!

Kraina mojego dzieciństwa to Lubelszczyzna, piękne przestrzenie, „pełne zwierza bory” i pola, rybne rzeki, Wisła, Wieprz, Kurówka, kąpiele, kobiety wiejskie piorące bieliznę kijankami, zieleń, młyny, wiatraki, nadwiślańskie plantacje wikliny, spławna Wisła, statki parowe i bocznokołowce, do Sandomierza, Warszawy, Płocka, transport, nawet w nocy, barkami z kamieniem do regulacji rzeki, w Puławach stocznia rzeczna i boczne wodowanie statków. Miasto żyło przy wodzie i z wody, coroczne powodzie mające cechy kataklizmów, a traktowane jako stały punkt programu, dzisiaj nie schodziłyby z ekranu i żółtych pasków tefalutenu. Inny świat, inni ludzie, inne czasy. Lepsze, czy gorsze, nie wiem, ale zupełnie inne. Dwukrotnie w roku wizyta taborów cygańskich, obcych, dziwnych, groźnych, strojnych, tajemniczych. Piękne wozy taborowe, na tylnej osi wiadro na wodę i pies na linie. I tak przez lata. Liceum z tradycjami, nauczyciele przedwojenni, garnitury, kamizelki, kapelusze, w kłapach odznaki absolwentów UJ (Uniwersytetu Jagiellońskiego), wiedza, dystans, rzeczowość. W mieście duch Czartoryskich, instytuty naukowe, rolnictwo, pszczelarstwo, weterynaria, weterynaria wojskowa, na 500-metrowej trasie do szkoły kilku prawdziwych profesorów i docentów po habilitacji, szpital, wokół którego koncentrowało się moje życie



i życie mojej rodziny, wśród służby zdrowia od dziecka. Polowania, kaczkę na prawdziwych bagnach nad Wieprzem, przeloty kaczek nad stawami, kuropatwy na bezkresnym Powiślu, do Kazimierza Dolnego i dalej, chłopskie wozy ciężkie od upolowanych zajęcy, zaśnieżone pola. Wisła, kąpiele, plaża na rzece, piękny most, ryby, sumy, bolenie, klenie i kłujące jazgarze, tak żarłoczne, że brały na goły haczyk. Kultura „wisząca w powietrzu”, historia, architektura puławska, kazimierska, janowiecka, nałęczowska, końskowska. „Kiepskie piwsko w tej Końskowoli” – to Pan Zagłoba; teraz piwsko lepsze. W każdej większej miejscowości Czarторыscy osadzali proboszcza literata: Grzegorz Piramowicz, Franciszek Dyonizy Książnin, Franciszek Zabłocki, księża, którzy nie tylko pięknie „kazali”, ale i pięknie pisali. Polonista w liceum, dr Stefan Buksiński, jego wspaniała praca doktorska „Puławy w świetle pamiętników” (czekam niecierpliwie na jej zdigitalizowanie w bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego), jego zajęcia z literatury amerykańskiej pamiętam do dzisiaj. Poważna szkoła w poważnym budynku. W mieście po carskim 71. Aleksiejewskim Pułku Piechoty pozostały dwie piękne, pełnowymiarowe strzelnice, kasyno oficerskie i cerkiew garnizonowa, później kościół garnizonowy, nasz ślub, okres międzywojenny to 2. Kaniowski Pułk Saperów. Teraz biedronki, praktykery, w jedynym pozostałym budynku ogromne laboratorium badania skażeń warszawskiego WIHE.

„Zasypie wszystko, zawieje” Włodzimierza Odziejewskiego spełniało się w oczach. W centrum miasta stał obelisk upamiętniający „robotę rewolucyjną” Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego w pobliskich koszarach. Po Feliksie i po robocie, na szczęście, nie zostało śladu! Uciął też warkot motoroweru jawa 555, nagrody od Ojca za najlepsze zdanie egzaminu do liceum, a było to w roku 1960. Według „fachowców” od motoryzacji, leżący tłok silniczka miał przetrzeć silnik, ale przez następne 25 lat nie dał rady. Tak wyglą-

dają rady fachowców z bardzo wielu różnych dziedzin. Szczególnie rady nie połączone z jakąkolwiek odpowiedzialnością. Lata dzieciństwa zdecydowanie, rok po roku, miały się ku końcowi. Niektórzy z kolegów, szczególnie ci, którzy już starali się lub musieli się gościć, poczuwali się już mężczyznami. Nie wiadomo, co szumiało im w głowach – hormony, czy wybujała fantazja. Szkoła była staroświecka, dziewczyny w granatowych fartuchach pod szyję, nadzór na przerwach jak na wirydarzu lub na spacerunku. Gdy patrzę teraz na ubiór szkolny moich wnuczek, 13 i 14 lat, wiem dokładnie, co znaczy inna epoka lub zderzenie się Średniowiecza z wiekiem XXI. Ale, gdyby nie to Średniowiecze, nie byłoby tych wnuczek! Gdy corocznie spotykamy się w gronie maturzystów z roku 1964, na twarzach Koleżanek i Kolegów, oprócz normalnego upływu lat nie widać śladów pobytu w zakładach reedukacyjnych, ani w szkole dla dzieci specjalnej troski. Szkoła trzyma się dobrze, a my dzielnie. Po zdaniu matury rozumu gwałtownie nie przybyło, świadomości, że to data przełomowa, również. Co to jest Wojskowa Akademia Medyczna trochę wiedziałem od starszego o rok Kolegi z naszej szkoły, który zawsze był dość oszczędny w wypowiedziach, szczególnie w rzeczowych. Mgliste pojęcie o uczelni, o przyszłym zawodzie większe, tyle, że nie w odmianie wojskowej. Doświadczenia wojenne Ojca opowiadane zawsze dowcipnie i kwieciste, nadawały się raczej na spotkania rodzinne. W sumie stan w jakim się wtedy znajdowałem można było określić jako pełną nieświadomość. W oddali słychać było mickiewiczowskie słowa z „Pana Tadeusza”: „Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiedzie, Ja z synowcem na czele i? – jakoś to będzie!” No i co? Udało się!

Włodzimierz „Wowka” Kuźma
Kurs VIII „Ciemiorków”

M.p. 28.02.2021

w dniu Spania w Miejscach Publicznych

Zachowajmy Ich w naszej pamięci



Śp.
Marek Starzyk
22.03.1955–22.11.2020

Śp.
Remigiusz Drzewiecki
20.08.1973–3.12.2020

Śp.
Mirosław Gendera
19.10.1952–8.02.2021

płk w st. spocz. dr n. med. Michał Miłkaszewicz (1922–2020)

Urodził się 17 maja 1922 r. w miejscowości Raczkany powiat Baranowicze województwo nowogródzkie (obecnie Zachodnia Białoruś).

W 1936 roku, po ukończeniu siedmioletniej szkoły powszechnej, wstąpił do gimnazjum w Baranowiczach.

W latach 1942–1945 pracował jako laborant w baranowickim szpitalu powiatowym.

W 1945 r. uzyskał świadectwo maturalne i rozpoczął studia medyczne w Mińsku. Po zaliczeniu pierwszego roku medycyny, w roku 1946 repatriował się do Polski i zamieszkał we Wrocławiu, gdzie kontynuował studia lekarskie, które ukończył 2 lutego 1952 r.

Już w czasie studiów pracował naukowo i prowadził dydaktykę w Zakładzie Anatomii Prawidłowej pod kierunkiem prof. Marciniaka, a następnie w I Klinice Chorób Wewnętrznych. W tej klinice, po ukończeniu studiów został asystentem i kolejno starszym asystentem. Opublikował wówczas pierwsze prace naukowe.

W 1953 r. przeszedł przeszkolenie wojskowe w Ośrodku Wyszczepienia Oficerów Rezerwy i uzyskał awans na stopień porucznika.

W 1955 r. uzyskał I stopień specjalizacji z chorób wewnętrznych.

20 czerwca 1955 r. został powołany do wojska i wyznaczony na stanowisko starszego asystenta Sanatorium Wojskowego w Kudowie Zdroju. Pełniąc tam służbę uzyskał kolejno specjalizację II stopnia z chorób wewnętrznych oraz awans na stopień kapitana. W październiku 1960 r. został wyznaczony na stanowisko ordynatora oddziału leczniczego ww. sanatorium. Uczestniczył też czynnie w zjazdach lekarzy uzdrowiskowych, pomnażając publikowany dorobek naukowy.

Działał aktywnie w różnych organizacjach społecznych, między innymi był radnym Rady Miasta w Kudowie Zdroju.

W czerwcu 1962 r. otrzymał nominację na stanowisko zastępcy komendanta do spraw lecznictwa Wojskowego Zespołu Sanatoryjnego w Ciechocinku. Ponadto przez wiele lat kierował w tej placówce Ośrodkiem Kardiologicznym Centrum Kształcenia Podyplomowego Wojskowej Akademii Medycznej, pod nadzorem płk. prof. Stanisława Bobera, a od 1972 r. gen. bryg. prof. płk. dr n. med. Dymitra Aleksandrowa.

W 1963 r. obronił pracę doktorską w Akademii Medycznej we Wrocławiu.



W październiku 1971 r. przejął pełnienie obowiązków komendanta Wojskowego Zespołu Sanatoryjnego w Ciechocinku, a w marcu 1973 r. został powołany na stanowisko komendanta tego sanatorium. W tym samym roku został awansowany na stopień pułkownika.

Był radnym Rady Miasta Ciechocinek. W swoich wystąpieniach, na posiedzeniach rady zawsze miał na względzie sprawy dotyczące rozwoju miasta oraz poprawy warunków życia mieszkańców ukochanego Ciechocinka. Wspólnie z ppłk. w st. spocz. dr. Cyprianem Sadowskim przyczynił się do likwidacji w mieście barier, utrudniających poruszanie się osobom niepełnosprawnym na wózkach inwalidzkich. Z powodu niedostatku wody pitnej dr Miłkaszewicz w znacznym stopniu przyczynił się do budowy nowego ujęcia wody w Kuczku, przy finansowym wsparciu Ministerstwa Obrony Narodowej.

Prawdziwą dumą doktora była pierwsza powstała w Ciechocinku sala intensywnej terapii, w której szkolili się lekarze z innych sanatoriów. Ponadto w tej sali został zainstalowany sygnał alarmowy wzywający lekarzy do przybycia do sanatorium – w razie zagrożenia życia pacjenta. Ponadto lekarze, którzy nie byli balneologami mieli swoich wyznaczonych opiekunów, przygotowujących ich praktycznie do egzaminu z medycyny fizykalnej. Był to klimat dążenia do doskonałości zawodowej i fachowości wśród lekarzy, atmosfery dyskusji naukowych i chęci stałego dokształcania się.

Pułkownik dr Miłkaszewicz był inicjatorem powstania w budynku „Wiarus” pododdziału fizjoter-

pii i kinezyterapii (wcześniej pacjenci chodzili na zabiegi do innych ośrodków sanatoryjnych). Zawdzięcza się mu również zbudowanie nowoczesnego budynku sanatoryjnego „Jubilat” na 216 łóżek, który został uruchomiony 2 maja 1984 r., powstanie przy budynku „Wiarus” kina „Warszawianka”, z którego swobodnie mogły korzystać osoby niepełnosprawne, oraz lądowiska dla helikopterów.

W 1981 r. płk dr Mikłaszewicz został wyznaczony na stanowisko komendanta Wojskowego Szpitala Uzdrawiskowego w Ciechocinku (z dniem 30 kwietnia 1981 r. decyzją Ministra Obrony Narodowej wszystkie sanatoria wojskowe zostały przemianowane na wojskowe szpitale uzdrawiskowe).

Pan pułkownik był inicjatorem budowy dla żołnierzy zawodowych i pracowników Szpitala trzech budynków mieszkalnych o 40 kwaterach. W wyniku tego w kwietniu 1988 r. oddano do użytku budynek dysponujący 24 kwaterami, a kilka miesięcy później, podobne w stylu dwa budynki po 8 kwater. Na terenie garnizonu Ciechocinek powstał w ten sposób trzeci kompleks wojskowy.

W okresie 17-letniego zarządzania Sanatorium / Szpitalem przez płk. dr. Michała Mikłaszewicza, Szpital stał się wysokospecjalistycznym zakładem uzdrawiskowym, prowadzącym podstawową działalność leczniczą, rehabilitacyjną, profilaktyczną i szkoleniową (w różnej postaci) oraz rozwijał aktywność naukowo-badawczą, która tylko do 1985 r. zaowocowała 120 publikowanymi pracami naukowymi, trzema doktoratami i jedną habilitacją.

Doktor Mikłaszewicz w Ciechocinku zbudował swój dom, wychowywał dzieci, pielęgnował przydomowy trawnik, obserwował jak miasto z dnia na dzień pięknieje. Jego ulubionym zakątkiem był park sosnowy, na który patrzył z okien mieszkania i po którym codziennie spacerował ze swoim myśliwskim psem „Czokiem”. Do końca życia był myśliwym – członkiem Wojskowego Koła Łowieckiego nr 255 „Wiarus” przy 22. Wojskowym Szpitalu Uzdrawiskowo-Rehabilitacyjnym w Ciechocinku.

Doktor Mikłaszewicz słynął z dobrych manier, wysokiej kultury osobistej, życzliwego stosunku do ludzi i z ogromnej skromności. Dbał o zdrowie, przestrzegał diety, prowadził racjonalny tryb życia.

Po przejściu w maju 1988 r. na zasłużoną emeryturę, do ostatnich dni życia udzielał się społecz-

nie, za co między innymi otrzymał tytuł „Honorowy Obywatel Miasta Ciechocinka” i medal imienia prof. Lorentowicza. Był czynny zawodowo do 87. roku życia, pracując w kilku sanatoriach na terenie miasta Ciechocinka i w Aleksandrowie Kujawskim.

Za całokształt działalności został uhonorowany Krzyżami: Oficerskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz wieloma innymi odznaczeniami resortowymi i honorowymi.

Swoje życie ozdobił niepospolitą jakością: pracowitością, zaangażowaniem, niezwykle skromnością, inteligencją, dowcipem i wysoką kulturą osobistą.

Zmarł 17 listopada 2020 r. w Ciechocinku. Odszedł od nas wspaniały człowiek, żołnierz, znakomity lekarz, organizator, sympatyczny sąsiad, kolega i pełen empatii przełożony. Był przedstawicielem tego wspaniałego pokolenia naszych rodziców, którzy mimo ciężkiego, a czasem tragicznego dzieciństwa i młodości, pracując i działając w różnych trudnych warunkach poświęcili swoje zdolności, wiedzę i zapał dla rozwoju nauki i budowy bazy, z której będą mogły korzystać i ją rozwijać następne pokolenia.

Nikt, kto miał przyjemność i zaszczyt spotkania na swojej drodze życiowej Pana doktora Michała Mikłaszewicza, nigdy nie zapomni Jego niezwyklej osobowości.

W imieniu władz miasta Ciechocinka pożegnał Zmarłego Przewodniczący Rady Narodowej Miasta Ciechocinka – mgr Jerzy Sobierajski. Pożegnanie wygłosili również Prezes Wojskowego Koła Łowieckiego nr 255 „Wiarus” w Ciechocinku – p. Andrzej Nawrocki i Prezes Koła Związku Kombatantów RP w Ciechocinku – płk w st. spocz. Maciej Maksymowicz.

Pułkownik dr n. med. Michał Mikłaszewicz był wyjątkową postacią i na trwale złotymi zgłoskami zapisał się w stuletniej historii naszego Szpitala.

Niech spoczywa w Pokoju!

Cześć Jego pamięci!

płk w st. spocz. lek. **Ireneusz Lelwic**

Dyrektor 22. Wojskowego Szpitala Uzdrawiskowo-Rehabilitacyjnego SPZOZ w Ciechocinku

płk w st. spocz. dr n. med. Jan Wieczorek (1936–2020)

Uwielbiał tworzyć, budować. Wiecznie w biegu, wiecznie w pracy, na dyżurze, nie potrafił chwili ustać spokojnie w miejscu, bo to go najbardziej męczyło...

Pułkownik w st. spocz. dr n. med. Jan Wieczorek urodził się 15.08.1936 r. w Nieznanowicach w Małopolsce, w dniu Święta Matki Boskiej Zielnej i Święta Wojska Polskiego.

Po ukończeniu liceum w 1954 r. rozpoczął służbę wojskową i naukę na Fakultecie Wojskowo-Medycznym Centrum Wykształcenia Medycznego w Łodzi, a w 1962 r. otrzymał dyplom Wydziału Lekarskiego Wojskowej Akademii Medycznej jako absolwent pierwszego kursu.

W służbie zawodowej zajmował kolejno stanowiska: asystenta, starszego asystenta na wydziale lekarskim Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi.

To tu właśnie poznał swoją żonę Marię, magistra farmacji, z którą wspólnie przeżył ponad 60 lat. Ich związek został uhonorowany Medalem za Długoletnie Pożycie Małżeńskie.

Tytuł doktora nauk medycznych otrzymał w 1977 roku za rozprawę pt.: „Rehabilitacja uzdrowiskowa w miażdżycy zwięzającej tętnic kończyn dolnych”.

Doskonaląc swoją wiedzę medyczną zdobywał kolejno specjalizacje z zakresu chorób wewnętrznych I i II stopnia, a następnie z kardiologii. Swe późniejsze zainteresowania ukierunkował na wiedzę praktyczną z zakresu balneologii i medycyny uzdrowiskowej, którą rozwijał do końca życia.

Kolejne szczeble uzdrowiskowej wiedzy medycznej zdobywał w Łądku Zdroju, gdzie ostatecznie zajął stanowisko naczelnego lekarza Centralnego Wojskowego Zespołu Sanatoryjnego w latach 1968–1976.

W 1976 r. trafił do urokliwej Krynicy Zdroju, która od tej chwili stała się jego światem, gdzie jako Komendant 20. Wojskowego Szpitala Uzdrowiskowego pracuje przez kolejne 21 lat (1976–1997). Kierował budową, wyposażeniem i organizacją nowego budynku sanatorium w Krynicy przy ulicy Świdzińskiego. Jako pełen zapału, wspaniały organizator stworzył grono ludzi, którzy nawet po zakończeniu jego pracy na stanowisku komendanta, nadal dbali o sanatorium jak o swój własny dom, do którego zarówno pracownicy jak i kuracjusze wracali z radością.

Przeniesiony do rezerwy w 1997 r. Uhonorowany wieloma odznaczeniami zawodowymi i resortowymi m.in. „Siły Zbrojne w Służbie Ojczyzny”, „Za Zasłu-



gi dla Obronności Kraju”, odznakami pamiątkowymi Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych i Związku Żołnierzy Wojska Polskiego.

Autor oraz współautor wielu prac z zakresu balneologii i medycyny uzdrowiskowej oraz kardiologii.

Ponieważ brak pracy męczył go najbardziej, po zakończeniu służby wojskowej przez wiele lat piastował stanowisko lekarza, a następnie Naczelnego Lekarza Orzecznika w nowosądeckim oddziale Zakładu Ubezpieczeń Społecznych oraz lekarza specjalisty chorób wewnętrznych i kardiologii w miejscowych przychodniach.

W latach 1992–2019 lekarz, ordynator Sanatorium Uzdrowiskowego „Leśnik Drzewiarz” w Krynicy. Służbę i pracę dla drugiego człowieka cenił ponad wszystko. Wzrósł w krynickie środowisko, gdzie dzięki swojej uczynności i bezinteresowności sprawił, iż jego imię zawsze wzbudzało szacunek.

Póki sił starczyło grał z wnukami w piłkę. Doczekał się też prawnuka.

Pułkownik dr n. med. Jan Wieczorek zmarł 18 marca 2020 r. i został pochowany w swojej do końca ukochanej Krynicy, pozostawiając w nieutulonym żalu swoją żonę Marię i synów Artura i Andrzeja, również członków wielkiej rodziny absolwentów Wojskowej Akademii Medycznej.

Synowie **Andrzej i Artur Wieczorek**

płk w st. spocz. lek. Stanisław Kustra (1946–2020)

Stanisław Kustra po ukończeniu liceum ogólnokształcącego rozpoczął służbę wojskową jako słuchacz-podchorąży VII Kursu Wojskowej Akademii Medycznej. Był jednym z „Ciemiorków”, o których losach często pisze na łamach „Skalpela” dr Włodzimierz KUŹMA. Jego „szlak bojowy” po ukończeniu studiów był typowy dla Wamowców: staż podyplomowy w 106. Szpitalu Wojskowym w Gliwicach, następnie służba w jednostkach wojskowych w Nysie, Kozuchowie i Gliwicach. Od 1980 roku na stałe związał się z Oddziałem Wewnętrznym 106. Szpitala Wojskowego w Gliwicach, którym następnie kierował jako Ordynator w latach 1989–2006. Po rezygnacji ze stanowiska ordynatora prowadził poradnię gastroenterologiczną oraz nadal pracował w pracowni endoskopii i dyżurował na oddziale. Był specjalistą chorób wewnętrznych i gastroenterologiem, doświadczonym i sprawnym endoskopistą, świetnym diagnostą, imponował fenomenalną pamięcią. Pod jego kierunkiem ukończyło specjalizację z chorób wewnętrznych 14 lekarzy. Chętnie dzielił się swoją rozległą medyczną wiedzą, wielu adeptów nauczył wykonywania badań endoskopowych przewodu pokarmowego i ultrasonografii. Korzystaliśmy z jego wiedzy i ogromnego doświadczenia praktycznie do końca Jego życia. Był SZEFEM wymagającym i obiektywnym, potrafił zmotywować lekarzy do pracy i nauki. Jako kierownik specjalizacji, zgodnie z obowiązującymi wówczas zasadami i tradycją, uczestniczył chyba we wszystkich egzaminach specjalizacyjnych swoich podopiecznych i cieszył się, gdy kończyły się sukcesem. Był znany i lubiany w środowisku wojskowej służby zdrowia, a Jego życzliwa obecność na egzaminie zawsze pomagała i motywowała. Dwukrotnie zorganizował w Rudach Raciborskich k. Gliwic Konferencje Gastroenterologów WP, które były wydarzeniami zarówno naukowymi, jak i towarzyskimi, wspominanymi przez ich uczestników jeszcze przez wiele lat.

Stanisław zwiedził prawie cały świat, w planach miał jeszcze tylko bieguny Ziemi. Coroczne wyjazdy na kongres gastroenterologiczny w USA wykorzystywał na zwiedzanie tego kraju oraz na wypadki na okoliczne wyspy: Hawaje, Bahamy czy Bermudy. Podróże planował perfekcyjnie, wiedział, co chce zobaczyć i zwiedzić, wcześniej „obczytywał” interesujące go tematy. A ponieważ miał wyśmienitą pamięć, często w trakcie tych podróży wcielał się w rolę przewodnika. Staszek od kilkadziesiątu lat kultywował



zwyczaj wysyłania do znajomych kartek pocztowych ze swoich podróży. Widokówki wysyłał tradycyjnie najpóźniej drugiego dnia pobytu, żeby zdążyły dotrzeć do adresatów przed jego powrotem do kraju. Ale kartki z Zanzibaru dotarły do Polski po ponad sześciu miesiącach! Był miłośnikiem i prawdziwym znawcą Tatr i Podhala. W młodości zdobył wszystkie tatrzańskie szczyty. I jeszcze kilka lat temu, będąc na Gubałówce, pokazywał nam i nazywał tatrzańskie wierchy, i nie pomylił się ani razu, co skrupulatnie sprawdzaliśmy na stojącej tam tablicy z panoramą Tatr. W czasie ostatnich wyjazdów do Zakopanego wyciągał nas na spacer po tatrzańskich dolinach, żeby, jak mówił, chociaż „dotknąć gór”. Był wiernym kibicem Piasta Gliwice, miał oczywiście kibicowski szalik, w którym chodził na stadion przy ul. Okrzei. Od kilku lat zakochał się w piłce ręcznej, jeździł na mecze ligowe i reprezentacji, kibicował „naszym” na mistrzostwach świata w Katarze ubrany, jakże by inaczej, w biało-czerwone barwy. Lubił dobrą literaturę, znajdował czas na kino, a ponieważ był hiperaktywny, jak tylko nadarzała się okazja robił krótkie samotne wypadki na pobliskie jurajskie czy beskidzkie turystyczne szlaki.

dokończenie na stronie 24

płk w st. spocz. lek. Stanisław Kustra

dokończenie ze strony 23

Jest ojcem dwóch córek. Z dumą opowiadał o ich sukcesach zawodowych, uwielbiał i rozpieszczał swoje wnuczka.

Szef, Staszek, nigdy mnie nie zawiódł. Jestem bardzo dumny, że po latach, mimo różnicy wieku traktował mnie jak przyjaciela. Z nim złowiłem swojego jedyne w życiu szczupaka, byłem na pierwszej „imprezie oddziałowej”, jeździłem na konferencje, pozna-

łem smak Guinnessa i dobrej whisky, zdawałem egzaminy specjalizacyjne, broniłem doktoratu, podróżowałem po USA i bajecznych wyspach.

Stanisław chorował bardzo krótko, bardzo ciężko, ale z godnością. Zmarł na „swoim oddziale” w szpitalu, w którym spędził prawie całe swoje zawodowe życie. Gdy z tego świata odchodzili nasi znajomi Staszek mówił: „śmierć krąży wokół nas”. Tym razem przeszła zbyt blisko Stanisława...

kpt. rez. dr n. med. **Wojciech Czapla**
XXVI KWL

płk. w st. spocz. lek. Ludwik Kuźniar (1935–2020)

Lekarz i spadochroniarz...

Po długiej i ciężkiej chorobie odszedł od nas na wieczną wartę w listopadzie ub. roku płk w st. spocz. Ludwik Kuźniar. Zasnął w fotelu rozmawiając z całą rodziną o przedwczesnej śmierci swojego brata Zdzisława Kuźniara – również lekarza, chirurga i ordynatora w szpitalu w Ustrzykach Dolnych.

Mundur wojskowy Ludwik założył po ukończeniu Akademii Medycznej w Krakowie w 1960 roku. Było to w ramach okresowej służby wojskowej, a służbę zawodową rozpoczął dwa lata później. Los związał go zawodowo z Wojskami Powietrzno-Desantowymi, a konkretnie z 6. Dywizją Powietrzno-Desantową w Krakowie. Opiekując się zdrowiem swoich podwładnych, kolegów i przełożonych był z nimi i na ziemi i w powietrzu, na pokładach samolotów i na poligonach. Prawo noszenia z dumą czerwonego beretu potwierdził 286-a skokami na spadochronie.

W ramach tej służby przeszedł całą ścieżkę lekarza-liniowca; od dowódcy plutonu medycznego do szefa służby zdrowia w 6. DPDes.

Od 1973 roku pełnił służbę w 5. Szpitalu Wojskowym w Krakowie jako asystent na oddziale chorób wewnętrznych. Dbając o poszerzenie swej wiedzy medycznej osiągnął specjalizację II stopnia zarówno w zakresie chorób wewnętrznych, jak i epidemiologii.

W 1978 roku był uczestnikiem misji pokojowej ONZ jako kierownik oddziału chorób wewnętrznych szpitala polowego.

Kolejnym etapem służby medycznej w Wojsku Polskim było stanowisko kierownika Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej KOW, które pełnił do zakończenia zawodowej służby wojskowej w 1995 roku.



Przez ponad 30 lat był też czynnie związany z Krakowskim Pogotowiem Ratunkowym, realizując z wielką rzetelnością stawiane mu tam zadania.

W roku 1960 założył rodzinę i związał swe życie z Marią Kuźniar – z domu Wołowską, również lekarzem. Był ojcem czworga dzieci: śp. Andrzeja zmarłego w 1992 roku, Dariusza, Michała i Joanny. Osierocił też pięcioro wnuków i 10-letnią prawnuczkę Sarę.

Za wzorową służbę i pracę wielokrotnie wyróżniany m.in. KKOOP, ZKZ i medalami resortowymi MON.

Pochowany został 27.11.2020 r. na cmentarzu Kraków-Batowice, a w ostatniej ziemskiej drodze prócz rodziny towarzyszyło mu liczne grono przyjaciół i towarzyszy służby.

Słowa pożegnania wygłosili: płk J. Balawender, córka Joanna i wnuczka Kamila.

Cześć Jego Pamięci.

Maria Kuźniar

– żona śp. płk Ludwika Kuźniara

W związku z ciągłym poszerzaniem oferty świadczeń
Zespół Opieki Zdrowotnej we Włoszczowie
– **Szpital Powiatowy im. Jana Pawła II,**
ul. Żeromskiego 28, 29–100 Włoszczowa,
zatrudni
Lekarza Chirurga do pracy w oddziale

Kierownik Oddziału:
płk w st. spocz. dr n. med. Bernard Rajczyk
– specjalista chirurgii ogólnej

Oddział Chirurgiczny liczy 22 łóżka w 10 salach chorych. W ciągu kilku miesięcy planowany jest gruntowny remont z dostosowaniem do współczesnych standardów. Blok operacyjny po remoncie 2011 roku.

Oferujemy współpracę na podstawie umowy kontraktowej lub umowy o pracę. Praca w zespole doświadczonych lekarzy specjalistów. Zapewniamy atrakcyjne warunki zatrudnienia negocjowane indywidualnie oraz przyjazną atmosferę w środowisku pracy. Zapewniamy pomoc w zakwaterowaniu.

Bliższe informacje można uzyskać w siedzibie ZOZ we Włoszczowie od pn.–pt. w godz. 7:30–15:05 lub telefonicznie oraz drogą elektroniczną:

- *Sekretariat tel. 41 3883800, e-mail: sekretariat@zozwloszczowa.pl*
- *Kadry tel. 41 388 37 65 lub 41 388 37 71, e-mail: kadry2@zozwloszczowa.pl*



